

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
w GDANSKU

ziemia

• ROK II • NR 5(7) • MAJ 1957 • 5 ZŁ •



przedstawia pisklęta ptaka bąka. Słotografował je Janusz Czech w mazurskim rezerwacie przyrody. O innych mieszkańcach rezerwatu opowiada reportaż na str. 16—18.



W NASTĘPNYM NUMERZE m. in.:
O GWARKACH-ROZBÓJNIKACH
POLOWANIE Z KAMERA
BANDYCI W MUZEUM
NAJWYŻSZA WIEŻA W POLSCE

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumeratę na III kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych TYLKO DO 10 — MIESIĄCA POPRZEDZAJĄCEGO NOWY KWARTAŁ.

Warunki prenumeraty — kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

Czytelnicy posiadający krewnych lub znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w P.K.W.Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46 tel. 864-84, wewn. 69 (nr konta PKO 1-6-100 024). Prenumerata zagraniczna — kwartalnie 19,50 zł, półrocznie 39 zł, rocznie 78 zł.

Poprzednie numery „ZIEMI” nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu”, ul. Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nacz. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIEGIEL, red. graficzny — JANUSZ MILEWICZ, red. działu — MARIAN KORNECKI. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8, tel. 571—04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, 596—76. Nakład 20 000 egz. Papier rot. 70 g. Do składowania 15 kwietnia 1957 r. Podpisano do druku 7 czerwca 1957 r. Druk ukończono w czerwcu 1957 r. Zam. 238/57. M-14

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
ul. Manifestu Lipcowego 19.

Pojęcie stepu przywodzi nam zazwyczaj na myśl ogromne, nie dające się ogarnąć wzrokiem równiny pokryte wysokimi trawami i różnobarwnym kwieciami; równiny, po których hula wiatr i równie szybki jak wiatr koń kozacki. Sugestywnie nakreślone obrazy poetów epoki romantyzmu wbiły się mocno w pamięć i trudno się nam pogodzić z faktem, że step we właściwym znaczeniu tego wyrazu — to tylko pewien typ roślinności zielonej charakterystyczny dla suchego klimatu i tworzący zespoły złożone z określonych gatunków roślin. Ojczyzną stepu europejskiego jest południowo-zachodnia Rosja i Ukraina, gdzie pokrywał on niegdyś wielkie, płaskie przestrzenie, dopóki nie został przekształcony przez człowieka w pola uprawne. W bardziej wilgotnym klimacie Polski murawy stepowe ograniczone są głównie do nasłonecznionych południowych ścianek niewielkich wzgórz wapiennych, gipsowych i lessowych, w które obfituje szczególnie Wyżyna Małopolska.

Jakże odmienny to krajobraz od typowych znanych nam z literatury rozległych stepów wschodnio-europejskich czy amerykańskich prerii. Ale nawet ten niepozorny, zepchnięty do małych zakątków step zadziwić nas potrafi swą malowniczością, gdy w bujnym rozkwicie wiosennym i letnim odkryje przed nami wszystkie swe powaby.

Najciekawsze może obszary o stepowej roślinności reprezentują u nas wzgórza gipsowe w okolicach Buska i Pińczowa, w kotlinie dolnej Nidy. Teren to dla turysty pod różnymi względami niezmiernie interesujący. Oglądany z okien autobusu czy kolejki wąskotorowej, sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie pewnej monotonii. Pola uprawne, łagodne pagórki, mało lasów. Brak lasów nie jest zresztą przypadkowy i nie jest jedynie wynikiem gospodarki człowieka; poważny wpływ ma tu suchy klimat i specyficzne właściwości gipsowego podłoża, utrudniające i dzisiaj zarówno zalesianie bezdrzewnych obszarów, jak zakładanie sadów. Step zwycięsko walczy z lasem, z tym samym lasem, który w naszym klimacie na innych terenach pokonał i wyparł dawne murawy stepowe.

Monotonia krajobrazu znika, gdy zboczmy z drogi i wejdziemy na któreś z wzgórz gipsowych w Skorocicach, Sie-

ślavicach, Chotlu Czerwonym czy Krzyżanowicach. Łatwa rozpuszczalność skał gipsowych sprawiła, że wykształciły się w nich najrozmaitsze formy krasowe, niewielkie przeważnie, lecz ciekawe i pełne uroku. Do najefektowniejszych należy wąwóz w Skorocicach. Jest to niewielka dolinka o stromych, skalistych zboczach, pełna malowniczych, poszarpanych skałek, różnorodnych zapadlisk krasowych i ozdobionych pięknymi kryształami gipsu — jaskiń. Podziemne labirynty ożywia przepływający w niektórych miejscach potok. Osobliwe formy krasowe znajdują się również w gipsowej kotlinie w Sielawicach koło Buska, gdzie urok krajobrazu podnosi kilka jezior, częściowo rozlewających się w podziemnych komorach. Interesujące, typowe dla krasu zagłębienia, zwane wertebami, spotykamy przede wszystkim w rozległym pasmie koło Krzyżanowic. Warto przy okazji wspomnieć, że w miejscowości tej był przez jakiś czas proboszczem ks. Hugo Kołłątaj. Wreszcie — jedna z najcenniejszych naukowo osobliwości tego terenu — ogromne, należące do największych na świecie, kryształy gipsu w Chotlu Czerwonym. Dochodzą one do wysokości około 2 m i tworzą pionową, jak lustro błyszczącą w słońcu ściankę. Odkrywki gipsowe z pięknymi, choć mniejszymi znacznymi kryształami, dolinki, jeziora i małe jaskinie spotkać można również w wielu innych miejscowościach Kotliny Nadnidziańskiej.

A wśród tych wszystkich dziwów przyrody martwej króluje step. Pokrywa bujną murawą nasłonecznioną zbocza pagórków, wciska się barwnymi kępami traw i kwiatów w szczeliny białych gipsowych skałek. Najbujniejszy jego rozkwit przypada na wczesne lato. Już w kwietniu jednak na monotonym jeszcze tle zielieniejących właśnie traw i turzyc stepowych przykuwają wzrok wielkie złociste kwiaty: to jedna z najpiękniejszych naszych roślin, młęk wiosenny, który tu właśnie na ciepłych i suchych zboczach znajduje najdogodniejszą dla siebie warunki bytu. Niedługo później zakwitają liczne białe zawilce leśne, wbrew swej nazwie rosnące w terenach otwartych, często stepowych, co najwyżej na południowych skrajach lasów. Czerwiec i pierwsza połowa lipca to okres, kiedy step rozwija całe swoje bogactwo; mieni się

WACŁAW SZYMCZAKOWSKI

wówczas wszystkimi kolorami. Główne tło tworzą żółte kwiaty omanów i przonaków, wśród nich pojawiają się liczne fioletowe i niebieskie kępy macierzanek i szalwii. Białe kwiaty marzanek i złocieni, różowe chabry, czerwone goździki i podobne do ostów ostrożeńce, błękitne kielichy lnu włochatego i wiele innych kwiatów dopełnia resztę. Gdziekolwiek widzimy kępy ostnic — pięknych wysokich traw stepowych z pióropuszcami niezmiernie długich ości. Niejeden z rosnących tu gatunków jest w naszej florze ogromną rzadkością, nigdzie poza izolowanymi maleńkimi skrawkami stepów nie znajdująca.

W pełni lata step jakby zamiera; spalony słońcem, schnie i żółknie, kwiatów jest coraz mniej. Dopiero w jesieni raz jeszcze próbuje odzyskać swą świetność, brak mu jednak tej żywotności, którą zadziwiał na wiosnę — tylko kilka gatunków kwiatów odświeża pozostałe murawy.

Gdy mowa o florze stepów nadnidziańskich, trudno nie wspomnieć o dyptamie — zadziwiającej roślinie rosnącej w jednym z tutejszych rezerwatów przyrody. Ma ona zdolność wydzielania nadzwyczaj lotnych i łatwopalnych olejków eterycznych; podczas upału, gdy wydzielanie to jest szczególnie silne, wystarczy przytknąć zapaloną zapalniczkę, aby pojawiła się na chwilę delikatna aureola ognia. Krzewiaste dyptamy i inne rośliny o podobnych właściwościach, rosnące na właściwych obszarach stepowych, zapalają się nieraz samorzutnie w czasie wielkich susz i upałów, stając się przyczyną tak częstych w lecie pożarów stepów. Spełniają one tym samym ważną rolę biologiczną, oczyszczając step z nadmiaru masy roślinnej ocieniającej i zakwaszającej glebę i szkodliwej przez to dla dalszego jego rozwoju. Przypuszcza się, że to właśnie dyptam był owym biblijnym płonącym krzakiem Mojżesza.

W mniejszym stopniu niż roślinność przykuwają tutaj uwagę przedstawiciele świata zwierząt. Nie spotykamy tu oczywiście śmigłej antylopy-suhaka (czy też sumaka, jak nazywali to charakterystyczne zwierzę stepów ukraińskich nasi dawni poeci) ani wielkiego węża połoza, brak też wielu innych mieszkańców „prawdziwych” stepów. Warto jednak przypatrzeć się bliżej paru ciekawostkom, jakie i tu można napotkać.

Oto na ziemi leży jakiś szary, brudny strzęp pokryty zeschniętymi szczątkami roślin. Z bliska okazuje się, że jest to zwyczajny na pozór kawałek pajęczyny. Gdybyśmy spróbowali jednak

kopać w tym miejscu do głębokości około pół metra, przekonaliśmy się, że strzęp ten jest wystającym na powierzchnię wylotem długiej rurki, na której dnie, w głęboko ukrytej w

glebie norce siedzi jej osobliwy mieszkaniec. Zamiast niszczyć norcę i szpecić teren, poczekajmy lepiej aż zajdzie słońce. Z nastaniem wieczornego chłodu tajemnicze zwierzątko wychodzi na polowanie: jest to pająk, ale takiego pająka z pewnością nikt z nas jeszcze nie widział. Wielki, znacznie większy nawet od znanego powszechnie okazałego krzyżaka, czarny, owłosiony, o straszliwych, wysuniętych w przód, hakowatych szczękach. Jest to jedyny w Polsce krewniak ogromnych egzotycznych pajaków-ptaszników, pozerających niekiedy nawet pisklęta.



Odkryte pokłady gipsu na wzgórzach nadnidziańskich.

(poniżej) Stepowa roślinność wciska się w szczeliny gipsowych skałek.

(u dołu) Otwór jaskini w Skorociach, stanowiącej podziemny przepływ potoku.

Zdjęcia: W. Medwecki.



Jeżeli wczesnym latem w słoneczny dzień znajdziemy się na południowych stokach wzgórz w Chotlu Czerwonym lub Krzyżanowicach, zauważymy, że z boczna rozbrzmiewają dziwnym dźwiękiem: kilkakrotne, urywane cykanie „dz-dz-dz-dz” i zaraz potem długi, ostry świst „dz...dzdzdzdzdzdz...”. Jeśli tylko słońce skryje się za chmurę, śpiew milknie. Każdy z nas słyszał z pewnością o charakterystycznych dla południowych krajów śpiewających piewiskach-cykadach; jest to właśnie jedna z nich, a ośrodkiem jej rozsiedlenia są dalekie stepy południowej Rosji. W Polsce poza wymienionymi dwoma wzgórzami nigdzie więcej nie została znaleziona. Nasza cykada przypomina nieco wyglądem dużego bąka; spostrzec ją jest jednak trudniej niż usłyszeć.

Oprócz cykad i ziemnych pajaków, upodobały sobie ciepłe murawy stepowe nad Nidą całe rzesze innych, niemniej ciekawych stworzeń, jak rozmaite barwne motyle i chrząszcze, rzadkie stepowe świerszcze, zwinne jaszczurki, a nawet — o dziwo — traszki, które zazwyczaj uchodzą za amatorów chłodu i wilgoci. W tym niezwykłym terenie spotykamy je jednak wygrzewające się na rozpalonych słońcem kamieniach.

Wszystkie te osobliwości martwej i żywej przyrody nakładają na nas obowiązki ochrony tych interesujących zakątków naszego kraju. Pamiętajmy o niezrywaniu — nie raz bardzo rzadkich i cennych dla nauki — kwiatów stepowych, nie zaśmiecajmy i nie zdeptujmy pięknych kwiecistych muraw. Niektóre ze wzgórz nadnidziańskich o pierwotnej roślinności objęto już urzędową ochroną: utworzono kilka rezerwatów przyrody, a projektuje się utworzenie dalszych. Na ochronę zasługują zresztą nie tylko gipsowe, lecz i niektóre wapienne i lessowe pagórki, a także pewne partie lasów oraz bardzo interesujące pod względem przyrodniczym siarczano-słone źródła w Owczarach koło Buska.

WACŁAW
SZYMCZAKOWSKI

GALWANIZACJA WIWISEKCJA REINKARNACJA

P. BURCHARD I J. GRZYBOWSKI

Słońce zachodziło właśnie, a jego gasnące promienie oświetlały okna redakcji czerwonym blaskiem. Cicho otwarły się drzwi. Stał w nich nasz stary i wypróbowany przyjaciel (w dalszym ciągu będziemy go w skróceniu nazywać Przyjacielem) jak zwykle zamyślony i smutny. On powiedział:

— Do martwego ciała przytknięto końcówki elektrycznych przewodów. Ktoś przekreślił kontakt i oto trup pod wpływem biegnącego prądu zaczyna wykonywać jakieś drgawki. Kiedy Galvani po raz pierwszy przeprowadził swoje doświadczenie, zarówno on, jak i współcześni nie rozumieli nie tylko istoty, ale i skutków zjawiska. Sądzono, że drgawki martwego ciała są pierwszymi ruchami powracającego życia.

— Dlaczego, drogi Przyjacielu — zapytaliśmy — psuje nam Pan wiosenny wieczór, opowiadając tak makabryczne historie?

— Mówię w redakcji krajoznawczego pisma właśnie o krajoznawstwie. Kliniczna śmierć Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego nastąpiła, jak wiadomo, w roku 1950. Rok ten uważa się również za datę zgonu polskiego krajoznawstwa. A teraz — w siedem lat później, takie oto dziwne zjawiska. Do krajoznawstwa przyłożono prąd budżetowy o napięciu 600 tys. złotych. Skutki? Dawniej była mowa wyłącznie o turystyce i na przyczepkę o krajoznawstwie. Teraz zaś — proste odwrócenie. Krajoznawstwo wyciąga się na początek dwumianu, ba — nawet niektórzy tak manipulują, by słowo „turystyka” wyrugować zupełnie. W sprawozdaniach pojawiły się nagle wielkie ilości imprez „krajoznawczych”. Nawet orkiestrę jazzową „akiegoś oddziału PTTK zaliczono do krajoznawczych osiągnięć.

— Czymże jest więc krajoznawstwo, skoro — jak Pan twierdzi — pojęcie to nie jest używane w sposób jednoznaczny, ani nawet jasny?

— Mnóstwo ludzi mówi teraz o krajoznawstwie. Ale — każdy inaczej. Nie wszyscy dostrzegają różnic między turystyką i krajoznawstwem. Jedni mówią na przykład, że krajoznawstwo to „uświadomiona turystyka”. Jest turysta, powiada taki pan, i jest turysta świadomy, czyli właśnie krajoznawca. Inni znów mówią tak: turysty hurza w polu nie przeżazi, mróz nie zamrozi, gotów na wszystko — prześpi się on pod każdym krzakiem i dalej dzielnie masze-

GALWANIZACJA WIWISEKCJA REINKARNACJA

Po pokonaniu armii pruskiej w podwójnej bitwie pod Jeną i Auerstädt (14. 10. 1806) wojska francuskie zaczęły zajmować Pomorze, Prusy Południowe i Śląsk. W ciągu zimy 1806/7 r. opanowana została większość obszaru Śląska. Opór stawiały już tylko pojedyncze twierdze, jak Koźle, Kłodzko i Srebrna Góra.

W tym czasie jednak główne

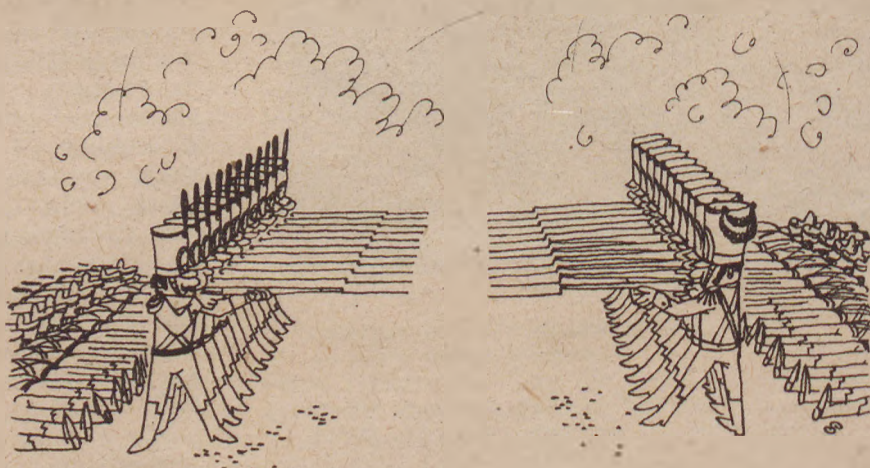
ków, zebrał część swych oddziałów i ruszył pośpiesznie w ślad za nimi. Rankiem 14 maja oddziały gen. Lefebvre'a dotarły pod Kąty i rozpoczęły atak na wojska pruskie. Major Losthin zdołał jednak zawczasu zająć korzystne pozycje, na których stawiał zwycięski opór atakującym Francuzom i zmusił ich w końcu do spieszego odwrotu ze znacznymi stratami. Zwycię-

odbywał się powoli ze względu na strome i wąskie drogi górskie, oraz na znaczne przeciążenie taborów rannymi.

Kiedy kolumna pruska przechodziła przez wieś Strugę (na północny zachód od Szczawnia), strażę przednią spostrzegły oddziały gen. Lefebvre'a wychodzące z lasów rozciągających się w rejonie Książa. Gen. Lefebvre bowiem po klęsce pod

BITWA POD SZCZAWNEM

Andrzej Wędzki



Rys. J. Smólski

działania wojenne przeniosły się na teren Prus Wschodnich i wiosną 1807 r. wojska francuskie rozpoczęły koncentrację swych sił na północno-wschodnim odcinku frontu, ściągając część garnizonów francuskich stacjonujących dotychczas na Śląsku.

Jednocześnie na rozkaz Napoleona powracał z Włoch do Polski pułk ułanów legii polskowłoskiej liczący około 400 ludzi. Trasa przemarszu ułanów prowadziła przez ziemie Dolnego Śląska pozostające pod okupacją francuską. Przemarsz Polaków zbiegł się czasowo z akcją zaczepną wojsk pruskich. Hr. Götzen dowiedziawszy się bowiem o znacznym osłabieniu garnizonu wrocławskiego przez północną koncentrację, postanowił uderzyć z rejonu Kłodzka na Wrocław, zdobyć znajdujące się tam zapasy, a następnie oswobodzić obleżony przez Francuzów garnizon pruski w Koźlu.

W tym celu wysłał on spory oddział pod dowództwem majora Losthina w sile około 1600 ludzi. Prusacy wyruszyli w nocy 11 maja ze Srebrnej Góry na północ, maszerując przez Jugów — Sokolec — Głuszycę — okolice Wałbrzycha — Świebodzice. Nocą z 13/14 maja oddziały pruskie dotarły do miasteczka Kąty w pobliżu Wrocławia. Rankiem 14 maja miało nastąpić uderzenie na Wrocław.

Plany pruskie pokrzyżował jednak dowódca wojsk francuskich, generał Lefebvre. Dowiedziawszy się o marszu Prusa-

stwo na stronę pruską przeważała także zdrada oddziałów saskich, które rzuciły broń i przeszły na stronę nieprzyjaciela. Gen. Lefebvre z resztą pobitych oddziałów wycofał się w kierunku Świdnicy.

Mimo odniesionego zwycięstwa sytuacja majora Losthina była groźna. Zaalarmowane dowództwo francuskie wzmocniło ponownie garnizon wrocławski, który mógł przejść do działań zaczepnych, wysyłając niektóre swe oddziały w kierunku Kątów. Jednocześnie korpus pruski poniósł także liczne straty i ucierpiał wiele od forsownych marszów. W tej sytuacji Losthin zdecydował się na zawieszenie całej operacji i odwrot do Srebrnej Góry¹. Po krótkim odpoczynku wojsko pruskie opuściło Kąty drogą świebodzińską wśród drobnych utarczek staczanych z nadciągającymi oddziałami garnizonu wrocławskiego.

W czasie tego marszu nadeszła wiadomość, że w Strzegomiu stoją polscy ułani. Był to wspomniany pułk legii, który właśnie nadciągnął z Legnicy. Major Losthin postanowił nocą niespodziewanie zaatakować Polaków. Kiedy jednak wojska pruskie w nocy 14 maja wkroczyły do Strzegomia, zastały miasto puste, gdyż po krótkim odpoczynku Polacy opuścili Strzegom udając się w kierunku Świdnicy². Po noclegu w Strzegomiu oddziały pruskie rankiem 15 maja wyruszyły dalej w drogę do Dobromierza. Za Dobromierzem korpus pruski wkroczył w teren górzysty. Marsz

Kątami uszedł z resztą swych oddziałów do Świdnicy i tam połączył się z polskimi ułanami. Wzmocniony niespodziewanie generał francuski mógł więc już rankiem 15 maja przystąpić do działań zaczepnych, wyruszając ze Świdnicy w kierunku Książa.

W tej sytuacji kolumna pruska wyczerpała wszystkie siły, aby sforsonować tzw. Czerwone Wzgórze (456 m n. p. m.) leżące między Strugą a Szczawnem, opadające stromymi zboczami w kierunku Strugi. Tam doszło do walki³. Wojska pruskie zajęły pozycje na zboczach Czerwonego Wzgórza, w ten sposób, że na prawym skrzydle stanęła część kawalerii pod dowództwem majora Stössela, w centrum zaś 3 działka i piechota. Na tyłach pozostawiono resztę kawalerii pod dowództwem rotmistrza Kleista. Artyleria i piechota Lefebvre'a stanęła na wzgórzach, natomiast ułani polscy zajęli pozycję w wąwozie ciągnącym się w kierunku Strugi.

Po krótkim wzajemnym ostrzeliwaniu się część pułku ułanów dowodzona przez Skarżyńskiego ruszyła do ataku. Korzystając z zasłony terenu, podeszli Polacy niespodziewanie pod kolumnę Kleista. Wprawdzie w ostatniej chwili dostrzeżono ich, ale było już za późno na zmianę frontu i przygotowanie się do odparcia ataku.

Impet i siła uderzenia polskiego zadecydowały w jednej chwili o wyniku całej bitwy. Kawaleria Kleista nie wytrzymała naporu i rzuciła się do

ruje. Ma GOT, ma GON, ma KOT. Krajoznawca zaś według tej koncepcji to człowiek, którego w niedzielę wozi się fabrycznym samochodem na zieloną trawkę do Młocin. I tyle. Trzecia z tych koncepcji, przedziwna, zasadza się tylko na stwierdzeniu, że wszystko, co dotychczas nazywaliśmy turystyką, jest w gruncie rzeczy krajoznawstwem. Coś tu jest jak z flogistonem. Ogień był znany jako skutek, nie potrafiiono jednak dociec przyczyny. Stworzono więc wygodną hipotetyczną substancję — „flogiston”, która miała jakoby przesycać wszystkie ciała i od niej właśnie zależała ich palność.

— Definicji krajoznawstwa nie da się zapewne zamknąć w jednym krótkim zdaniu, tak jak to jest możliwe przy określaniu zakresu poszczególnych dyscyplin nauki. Spośród różnych punktów widzenia najpoważniejsze są cztery poglądy: Pierwszy — że krajoznawstwo jest wiedzą o kraju. Drugi — że zdobywaniem nowych wiadomości, które powiększają zasób wiedzy o kraju (amatorskie badania naukowe). Trzecie — że to popularyzacja wiedzy o kraju i wreszcie czwarty — że jest ono naocznym poznawaniem kraju przez wędrowki i wycieczki (pogranicze turystyki). Każdy z tych poglądów zawiera niewątpliwie pewną dozę słuszności. Przy próbach definiowania trzeba jednak pamiętać o nawarstwieniach historycznych i komplikacjach uczuciowych (regionalizm, patriotyzm, „budzenie narodowego ducha”). Zresztą nigdy, nawet w czasach najpiękniejszego rozwoju PTK nie było jednolitości poglądów na zakres krajoznawstwa. Znacznie łatwiej było ustalić, kto jest krajoznawcą. Towarzystwo krajoznawcze było bowiem organizacją skupiającą krajoznawców, działających bardzo różnorodnie, a nie zajmującą się „ustawianiem” ruchu dość spontanicznego.

Tak więc drogi Przyjacielu, gdy okazało się, że istota ruchu w gruncie rzeczy nie uległa zmianie, przedmiotem sporu stają się tylko formy. Tu dochodzimy do sprawy bardzo ważnej. Czy można w ogóle mówić o „śmierci” czy likwidacji Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w roku 1950? Prowadziło ono przedtem nie tylko działalność stricte krajoznawczą, ale także i dość żywy ruch turystyczny. Ten w PTTK rozwinął się znacznie i bardzo efektywnie. Prowadzili go zresztą ci sami ludzie. Można tak lub inaczej oceniać szczegóły, ale nie da się negować olbrzymich sukcesów. Można dawne PTK-owskie wycieczki wspominać z tęskną lub uśmiechem — dziś żyjemy już czym innym. A jak z krajoznawstwem? Czy rzeczywiście tak strasznie w PTTK zostało zaprzepaszczone, jak twierdzą nie-

ucieczki, wpadając na stojącą na pozycjach piechotę, mieszając jej szyki i częściowo zmuszając do odwrotu. Losthin próbował ratować sytuację wprowadzając do walki strzelców por. Blachy. Zostali oni jednak również rozbici. Jednocześnie z tym uderzeniem od tyłu przeprowadzono drugie natarcie ułanów pod dowództwem kpt. Fijałkowskiego na kawalerię mjra Stössela.

To podwójne uderzenie złało zupełnie korpus pruski. Część żołnierzy rzuciła się do ucieczki w pobliskie zarośla, inni wycofali się do Szczawna. W toku walki część Szczawna została spalona.

W wyniku bitwy wzięto do niewoli 14 oficerów i 300 szeregowych, ponadto w ręce ułanów wpadły 3 działka. Dowódca oddziału pruskiego major Losthin oraz kpt. Ziemięcki i Hahn dostali się także do niewoli. Poza rozbitymi grupami pruskimi z pogromu ocalały tylko tabory, które bocznymi drogami ze Strugi dotarły do Srebrnej Góry.

Według relacji Dobieckiego w czasie tej bitwy zginęło kilkunastu ułanów polskich, a z oficerów Szulc i Fijałkowski odnieśli ciężkie rany. Poległych pogrzebano prawdopodobnie gdzieś na polu walki. Pamięć jednak o ich grobach zaginęła zupełnie i dziś nie da się już odszukać w terenie żadnych pamiątek z tych czasów⁴.

Zwycięstwo polskie miało także i bardziej ogólne znaczenie. Pokrzyżowało bowiem ambitne plany hr. Götzena, osłabiło znacznie siły pruskie i doprowadziło do stabilizacji sytuacji wojskowej na Śląsku, zachwianej na niekorzyść francuską wypadem majora Losthina.

Andrzej Wędzki

PRZYPISY:

¹ Na tym stanowisku stoi zdecydowanie literatura niemiecka. Natomiast Staszewski w cyt. pracy (s. 23) twierdził, że Losthin po bitwie pod Kątami próbował dalej kontynuować marsz na Wrocław. Jest to w wyraźnej sprzeczności z trasą pochodu wojsk pruskich z Kątów do Strzegomia, a więc w kierunku oddalającym je od Wrocławia.

² Krótkotrwały pobyt polskich ułanów w Strzegomiu i ich wymarsz w kierunku Świdnicy zanotowała miejscowa tradycja strzegomska. Por. Ch. Fischer, C. Fr. Stuckart, Zeitgeschichte der Städte Schlesiens, Bd. 2, Świdnica (około r. 1819), s. 59; J. Fissa, Chronik der Stadt Striegau von den ältesten Zeiten bis zum Jahre 1889, Strzegom 1889; s. 303.

³ Według tradycji zachowanej wśród autochtonów w Szczawnie-Zdroju niemiecka nazwa wzgórza „Rote Höhe” (Czerwone Wzgórze) ma pochodzić od kiwi przelanej w czasie tej bitwy.

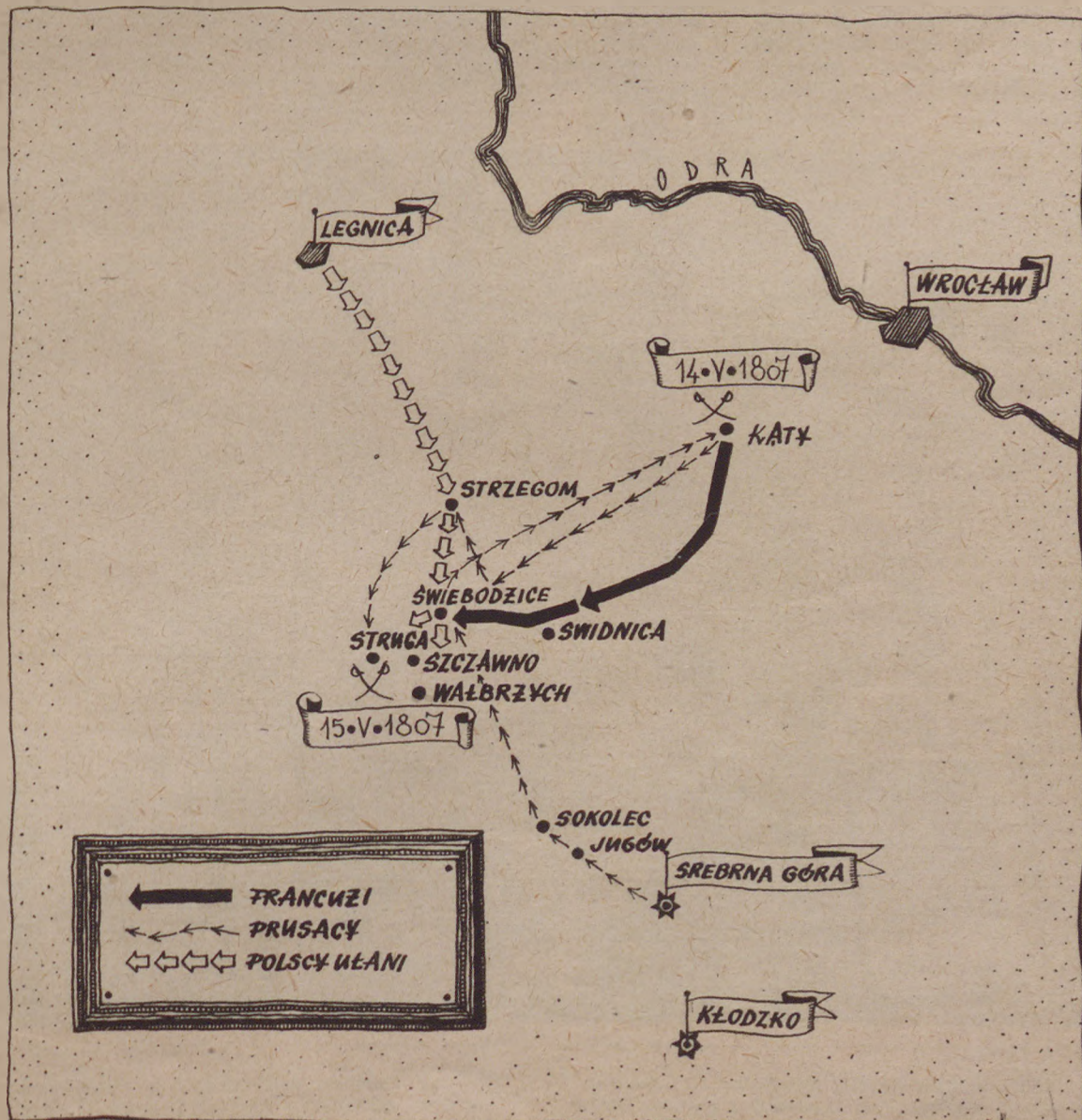
⁴ Poszukiwania we wrześniu 1956 r. na terenie cmentarzy w Szczawniku i Strudze, wywiady wśród autochtonów i ludności niemieckiej na terenie obu tych miejscowości, a także i badania miejsca samej bitwy nie dały żadnych pozytywnych rezultatów z wyjątkiem wspomnianej już genezy nazwy „Rote Höhe”.

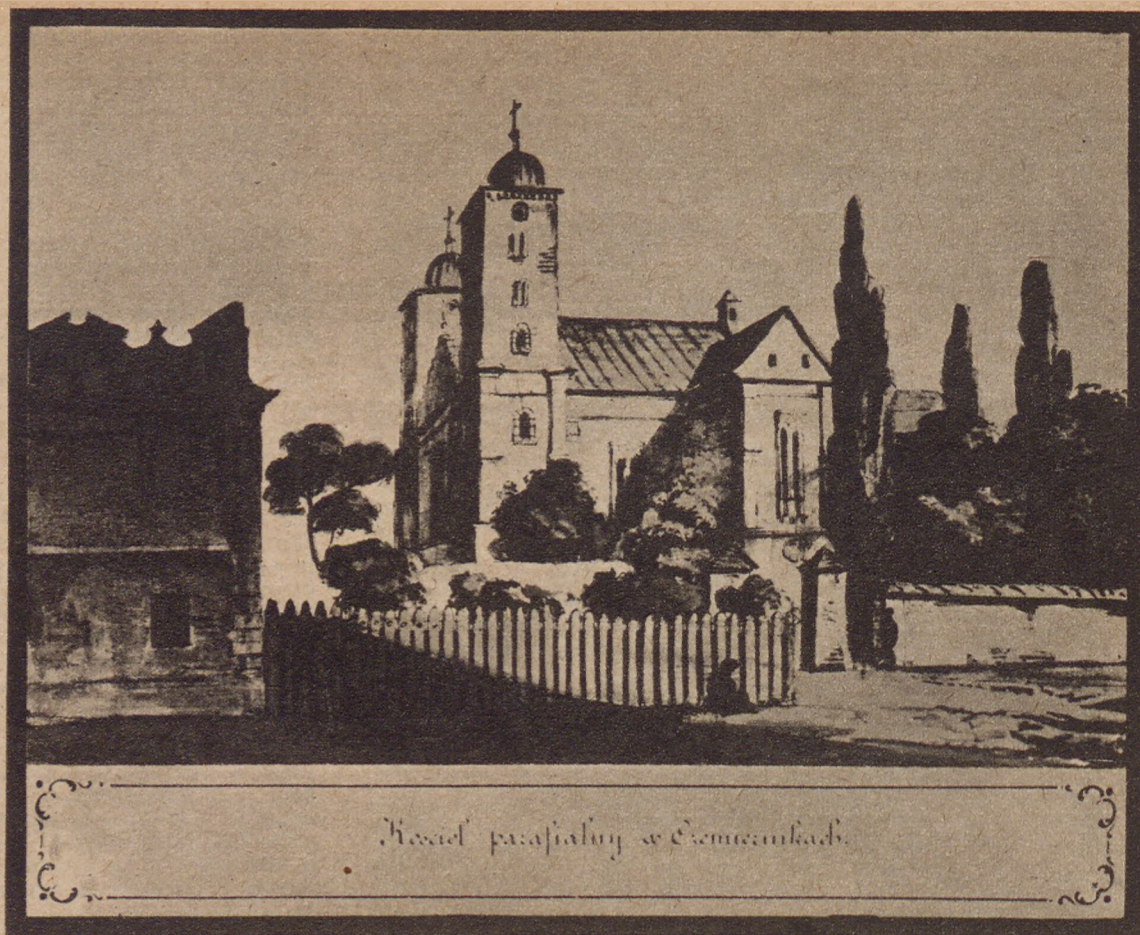


W literaturze polskiej poza wzmianką w pracy M. Kukiela: *Dzieje wojska polskiego w dobie napoleońskiej*, Warszawa 1918, t. 1, s. 189—190 — więcej miejsca poświęcił bitwie pod Szczawnem J. Staszewski (*Wojsko polskie na Śląsku w dobie napoleońskiej*, Katowice 1936, s. 20—24). Dotychczas w polskiej literaturze była ona określana mianem bitwy pod Strzegomiem (występującym zresztą w różnych wariantach: jak Strzyglów u Staszewskiego, Strzygów w pracy Kukiela, a nawet Staszów w wydawnictwie Dolny Śląsk wyd. Instytut Zachodni t. 1, s. 167). Polega to niewątpliwie na nieporozumieniu i bezkrytycznym przyjęciu opisu i lokalizacji bitwy z pamiętników Wojciecha Dobieckiego, jednego z jej współuczestników (*Wspomnienia wojskowe Wojciecha Dobieckiego*, Czas, Dodatek Miesięczny R. 4: 1859, t. 15). Wprawdzie Dobiecki umiejscawia tę bitwę pod „Striegau”, a więc pod Strzegomiem, ale wartość tego pamiętnika jako źródła historycznego pisanego z pamięci prawie w pół wieku po wypadkach jest niewielka (por. uwagi B. Pawłowskiego o Dobieckim w *Polskim Słowniku Biograficznym* t. 5, s. 231—232). Literatura niemiecka określała tę bitwę mianem „pod Struga” lub „pod Szczawnem” (por. np. podstawową pracę w tym zakresie E. Höpfnera *Der Krieg von 1806 und 1807*, Bd. 4, Berlin 1855, s. 361 nn.). Z tych względów należałoby przywrócić jej właściwe miano bitwy pod Szczawnem.

Ułani tego oddziału legii polsko-włoskiej, który rozbił korpus majora Losthina w r. 1807.

Mapka operacji wojsk francuskich, polskich i pruskich na Dolnym Śląsku w maju 1807 r.





Kościół parafialny w Czemiernikach.

CZEMIERNIKI

ALICJA KURZAŃKOWSKA

Czemierniki jako podupadła, węgłująca osada były jeszcze w początkach naszego stulecia niedużym centrum produkcji rzemieślniczej dla otaczających je wiosek. Pracowało tu kilka kuźni, ślusarnia. W bok od

szosy opodal stawu dymił garncarski piec, gdzie wypalano popularne na Lubelszczyźnie siwe nieglazowane naczynia. Dziś po dawnej garncarni pozostała tylko na murawie brązowo-czarna przepalona łysina.

Podupadły i inne rzemiosła. O dawnej świetności świadczy tylko parę okazałych budowli, które — jak to często w tych stronach bywa — dziwnie kontrastują z mizernym otoczeniem.

Gdy jadąc z Radzyna do Lublina samochód wpada w rozległą dolinę rzeki Tyśmienicy, na horyzoncie pojawia się osada ze sterczącymi wieżami kościoła. Po chwili wjeżdżamy między dwa rzędy ustawionych szczytami do drogi, drewnianych domków.

Czemierniki, tę dziś prawie wieś, trochę może większą i schludniejszą niż inne w okolicy, zaliczał Szymon Starowolski w I poł. XVII wieku do pierwszych miast Lubelszczyzny. Wymieniając — między innymi — szereg obecnie powiatowych miasteczek takich jak Kraśnik, Lubartów, Opole, pisał: „już zaś przewyższa je miasto Czemiernice, dla piękności Ogrodów wspaniałego Pałacu, od wielkiego niegdyś męża Henryka Firleja ...wystawionego”¹.

Początkami historii i fundacją swych zabytków związane są Czemierniki ze sławnym i możnym rodem Firlejów. Tę dziedziczną ich wieś przenosi w r. 1509 na prawo magdeburskie Mikołaj Firlej z Dąbrowicy. W II poł. XVI w. Czemierniki, jak i inne posiadłości firlejowskie, stają się przez szereg lat ogniskiem kalwinizmu. Istniejący tu wówczas drewniany kościół parafialny zamieniony zostaje na zbór, rekuncyliowany w r. 1590.

Pierwsza ćwierć XVII wieku jest widownią ożywionej działalności artystycznej kolejnego właściciela, Henryka Firleja, późniejszego prymasa Polski. Czemierniki — leżące w sąsiedztwie radzyńskich dóbr Mnischów, z którymi był spokrewniony przez swą matkę Barbarę — obiera on na swą rezydencję.

Po Firlejach przechodzą Czemierniki w dziedzictwo królewicza Jakuba Sobieskiego. W I połowie XVIII w. są własnością sławnego wojewody podolskiego, Stefana Humieckiego. W II połowie XVIII w. należą do jego synowicy, Teresy z Pocięjów Humieckiej. W wieku XIX właściciele Czemiernik zmieniają się już często: Radziwiłłowie, Krasinscy, Raczyńscy.

Pożar w r. 1813 niszczy miasteczko prawie doszczętnie. I nic już nie zdoła przywrócić mu dawnej świetności z czasów Firlejów, po których pozostały dwa cenne zabytki: pałac i kościół. Pałac czemiernicki usytuowany został niezwykle malowniczo z wykorzystaniem naturalnych warunków obronnych jakie stwarzały otaczające go z dwu stron stawy. Strzegły go renesansowe fortyfikacje: w obręb twierdzy wprowadza brama wjazdowa, wykazująca w części dolnej pewne podobieństwo z Bramą Szczerzeską w Zamościu, dziełem budowniczego Błażeja Gocmana. Sam pałac jest murowaną, jednopiętrową budowlą o prostokątnej bryle i rzucie zbliżonym do kwadratu.

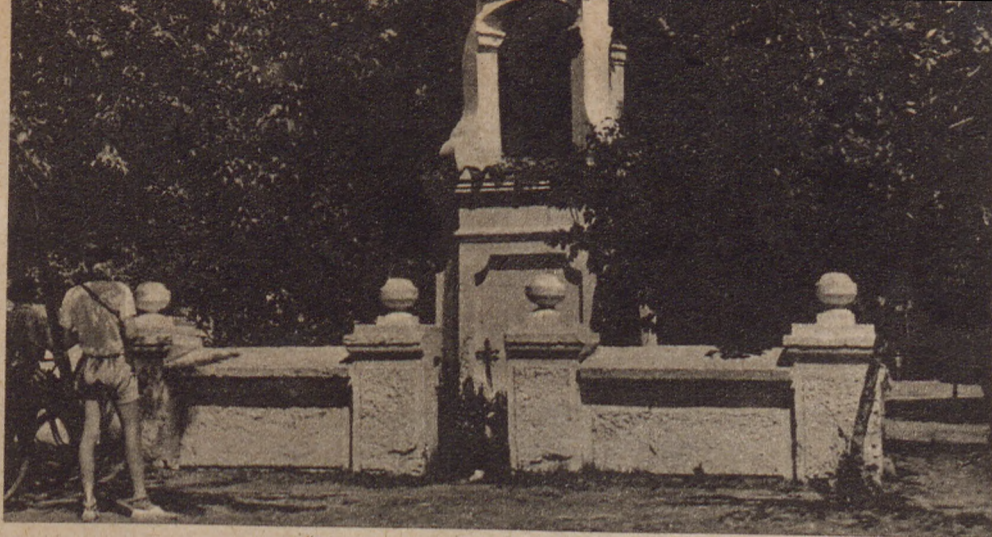
Historia budowy pałacu nie jest jeszcze całkowicie wyjaśniona. Również odtworzenie pierwotnego wyglądu napotyka na trudności, nie jest też znane nazwisko architekta. Jak wyglądał pałac, ukończony przed rokiem 1624, kiedy Firlejowie gościli w Czemiernikach króla Zygmunta III wraz z rodziną, szukającą tu schronienia przed panującą w Krakowie zarazą?

Przed wszystkim różniła go od dzisiejszego i nadawała mu inny charakter renesansowa attyka. Widoczny dziś poniżej attyki dziewiętnastowiecznej fryz rozczłonkowany pilastrkami jest zapewne cokołem pier-

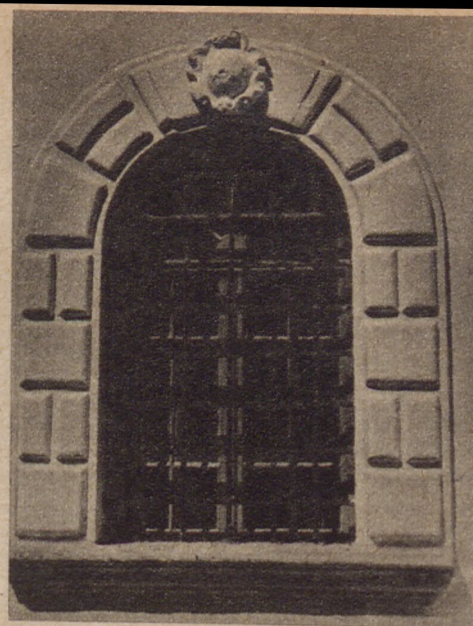


Wnętrze kościoła parafialnego w Czemiernikach. Motywem zdobniczym kapiteł jest kwiat słonecznika.

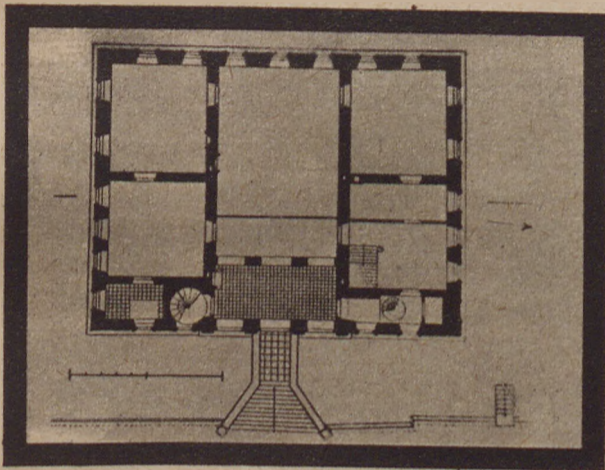
(u góry) Tak wyglądał kościół parafialny w Czemiernikach w latach 1850—55 (wg ilustracji z albumu Stronczyńskiego „Gubernia Lubelska”).



1



2



3

1 Barokowa kapliczka z figurą Matki Boskiej, stojąca na czemiernickim rynku. Wszystkie zdjęcia: Janusz Bogdanowski.

2 Okno w południowej wieży kościoła parafialnego. W obramieniu widnieje herb dawnych właścicieli Czemiernik-Lewart.

5



3 Rzut poziomy firlejowskiego pałacu w Czemiernikach (według Komornickiego).

4 Wieże czemiernickiego kościoła od południa. Kościół wzniesiono w latach 1603—14, lecz dekoracje szczytu pochodzą z XIX stulecia.

5 Ozdobny portal zachodnich drzwi wejściowych kościoła parafialnego w Czemiernikach.



wotnej attyki. Również trzy arkady w parterze, dziś wypełnione stolarzczyzną, tworzyły dawniej otwartą loggię, przez którą rozciągał się widok na wspaniałe ogrody.

W wieku XVIII pałac został odnowiony i przykryty wysokim dachem mansardowym². Zniknął wówczas zapewne grzebień renesansowej attyki. Pożar w 1813 roku też nie oszczędził budynku; pałac pozostawał w ruinie do r. 1812, kiedy odrestaurował go i nadał mu dzisiejszy wygląd hr. Krasicki.

Trudno powiedzieć coś więcej o wyposażeniu wnętrza pałacu. Niech więc wyręczy nas w tym pamiętnikarz Franciszek Tanner, który w roku 1678 pisał: „Komnaty, w których przyjęci byliśmy, tak były piękne i obficie ozdobione makatami, obrazami i kosztownymi sprzętami, iż zdawało się, że wszystko to, com po innych widział zamkach, w tym jednym zgromadzonem było”³.

Kościół czemiernicki wzniesiony w latach 1603—14, niszczone kilkakrotnie pożarami, popada ostatecznie

w I poł. XIX wieku w duże zaniebanie. Remont dokonany w II poł. XIX wieku zniekształca jego pierwotny wygląd nadbudową zakrystii, dodaniem portyku, nowym zwieńczeniem wież. Stan jeszcze sprzed remontu rejestruje w swym rysunku Stronczyński.

Kościół jest jednonawowy z parą symetrycznie rozmieszczonych kaplic i dwoma wysokimi wieżami na fasadzie frontowej. Wewnątrz sklepienie kaplic i prezbiterium pokrywa dekoracja sztukateryjna składająca się

z szeregu figur geometrycznych łączonych listwami stiukowymi w zamknięte całości. Szczątki podobnej dekoracji dostrzec także można na sklepieniu nawy. Zdobione są również kapitele pilastrów, zworniki i portale; częstym motywem są tarcze z herbem Firlejów-Lewart. Dekorują one między innymi dwa bliźniacze bogate portale w prezbiterium, wykonane z dwubarwnego kamienia.

Szczególnie interesującym elementem architektonicznym są okna kościoła czemiernickiego, dwudzielne

niezwykle wysmukłe, nawiązujące najsilniej do okien absydy kolegiaty w Zamościu. Natomiast użyty w ich dekoracji bardzo charakterystyczny motyw plecionki występuje w wielu zabytkach renesansowych Lubelszczyzny.

Kościół w Czemiernikach należący do zespołu budowli sakralnych tzw. „renesansu lubelskiego” zbliżony jest najbardziej do grupy kościołów w Turobinie, Uchaniach i Łęcznej. We wszystkich tych kościołach do jednonawowego wnętrza dodano po dwie kaplice, co tworzy swego rodzaju układ krzyżowy. Nawet pomimo swej mało typowej elewacji frontowej, w której dominują dwie wysokie wieże, świątynia czemiernicka najbliższa jest trzem wymienionym kościołom. Zarówno bowiem w Turobinie, Uchaniach, jak i Łęcznej występują obok szczytu dwie wieżyczki.

Kwestia autorstwa kościoła czemiernickiego jest otwarta. Co prawda

na łuku tęczowym od strony prezbiterium obok daty 1614 figuruje gmerk i inicjały „I. W.”. Nie dają się one jednak dotychczas związać z żadnym znanym artystą tych lat. Poza tym odnosić się one mogą jedynie do sztukatora.

Rozwiązanie tajemnicy monogramisty I. W. miałyby szczególne znacze-

nie dla sztuki Lubelszczyzny, gdyż w r. 1623 człowiek ów pracował przy budowie kościoła w Turobinie, o czym świadczy pozostawiony również i tam jego gmerk i inicjały wraz z datą 1623.

Obok czemiernickiego kościoła wznosi się plebania, budynek piętrowy z wyniosłym dachem, krytym

dachówką. Na rysunku Stronczyńskiego budynek ten wygląda bardziej interesująco; elewacje wieńczy renesansowa attyka, kształtem przypominająca grzebień attyki z kamienicy pod Św. Mikołajem w Kazimierzu Dolnym.

Alicja Kurzątkowska

Widok na tęczę i dekoracje sztukatorskie sklepienia prezbiterium kościoła parafialnego w Czemiernikach.



PRZYPISY:

¹ S. Starowski — *Opisanie Królestwa Polskiego za czasów Zygmunta III* — Wilno 1765.

² B. Gerquin — *Zagadnienie obronnych rezydencji feudalnych początku XVII w.* — Referat na Zjeździe Naukowym Stow. Historyków Sztuki w Lublinie w r. 1953.

³ J. U. Niemcewicz — *Zbiór pamiętników* — t. V. Lipsk 1839. *Dziennik Franciszka Tannera.*



JANUSZ BOGDANOWSKI

Autor artykułu, młody (ur. w r. 1929) naukowiec krakowski, asystent Katedry Planowania Przestrzennego Politechniki Krakowskiej jest pionierem badań nad historią nowożytnej fortyfikacji w Polsce. Ponadto specjalizuje się w zagadnieniach historii architektury polskiej.

Dwór leży w dolinie, więc rozległe wzgórze lubartowskiego powiatu ograniczają widok. Gdzieś na horyzoncie obraca skrzydłami wiatrak. Wzdłuż dróg rozsiał się wierzby. Naprzeciwko, za wielkim stawem, przez który biegnie ku bramie grobla — Czemierniki. Z przeciwnej strony dworu — gąszcz zarostowego parku. Za drzew w tu i ówdzie widać wały i mury otaczające budowlę.

Nie ulega wątpliwości, że dwór czemiernicki jest bardzo cennym i ciekawym zabytkiem polskiego renesansu, jednak może nie on jest tu największą osobliwością, a właśnie te fortyfikacje. Gdy się patrzy na nie zza stawu, wyglądają całkiem okazale. A jednak Komornicki¹ pisze: *długie ceglane kurtyny przerywane małymi strzelnicami do ręcznej broni, nie wykazują niczego godniejszego*

uwagi... Po czym po pobieżnych rozważaniach konkluduje: *...fortyfikacje te, zważywszy nadmierną długość kurtyn, nieznaczną stosunkowo ich grubość i małe wzniesienie nad otaczający je poziom, były raczej groźnym z wyglądu ogrodzeniem słynnych pono ogrodów czemiernickich, niż poważną osłoną przed nieprzyjacielem.*

I to jest bodaj jedyna dłuższa wzmianka o twierdzy czemiernickiej w naszej współczesnej literaturze². Czy jednak wnioski Komornickiego są w pełni słuszne? Na to można by odpowiedzieć dopiero po dokładniejszym zapoznaniu się z tymi umocnieniami i rozważeniu ich wartości nie z punktu widzenia formy architektonicznej, lecz — zasad sztuki fortyfikacyjnej. Warto by twierdzę najpierw zobaczyć. Zastąpi to na razie krótki opis.

OPIS OBWAROWAŃ

Mają one w planie kształt nieregularnego czworoboku, który dwoma ścianami i połową trzeciej przypiera do wielkich stawów. Przy pozostałych bokach zachowały się resztki

fos. W narożu wysuniętym najbardziej ku stawom znajduje się sam dwór, odcięty od całości osobną fosą.

Boki północny i zachodni (od stawów) tworzą długie ceglane mury z ciekawymi załamaniem na 2/3 długości, o których będzie jeszcze mowa. Boki południowy i wschodni to jakby wielobok, opatrzony na czterech załamaniach wysuniętymi narożnikami, tzw. bastionami. Dla ułatwienia dalszych rozważań nazwijmy je: bastion Bramny — przy bramie, Wysoki — w najwyższym punkcie terenu, Hiszpański — bardzo spłaszczony, czym przypomina bastiony szkoły hiszpańskiej i wreszcie Wodny — przy stawie. Z nich tylko dwa, Bramny i Wodny posiadały sklepione kazamaty. Pozostałe wypełnione były ziemią, na co wskazuje zachowany do dziś wał za bastionem Wysokim i przyległymi doń murami, opatrzony pochylniami do wytaczania armat.

Wszystkie bastiony mają „oriony”, czyli „uszy”, elementy bardzo rzadkie w polskiej fortyfikacji. Są to jakby przedłużenia murów czola bastionu; wyjaśnia to najlepiej rysunek. Od strony zachodniej znajduje się brama z niską wieżą obserwacyjną oraz

sklepienymi wartowniami. Prócz niej umocnienia posiadają jeszcze jedno wyjście, tzw. „wycieczkę”, czyli furtkę umożliwiającą dokonywanie niespodziewanych wypadów. Mieści się ona w lewym barku bastionu Hiszpańskiego.

Zarówno bastiony, jak i kurtyny (mury między bastionami) opatrzono dwoma rodzajami strzelnic. Jedne — to przesklepione okienka kazamatów, drugie zaś, to wycięcia w koronie murów, tak skonstruowane, że umożliwiają strzelanie w promieniu 60°. W północno-zachodnim odcinku murów znajduje się natomiast strzelnica innego typu — „kluczowa”. Pozwala to przypuszczać, że ten odcinek muru jest starszy od reszty obwarowań.

Na tym można by opis skończyć. By Czytelnik mógł go jednak dobrze zrozumieć i przeprowadzić następnie wraz ze mną analizę fortyfikacji, trzeba mu najpierw podać

PEWNE WYJAŚNIENIA

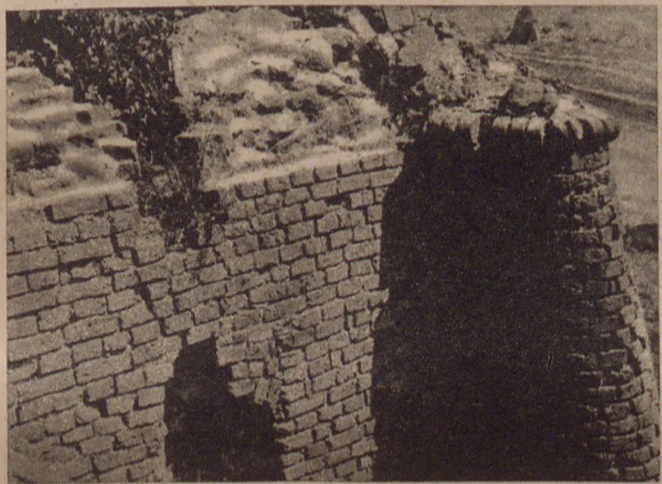
Zacząć trzeba oczywiście od najprostszych. Obwarowania czemiernickie należą do stosowanych w wiekach XIV—XIX fortyfikacji „bastio-



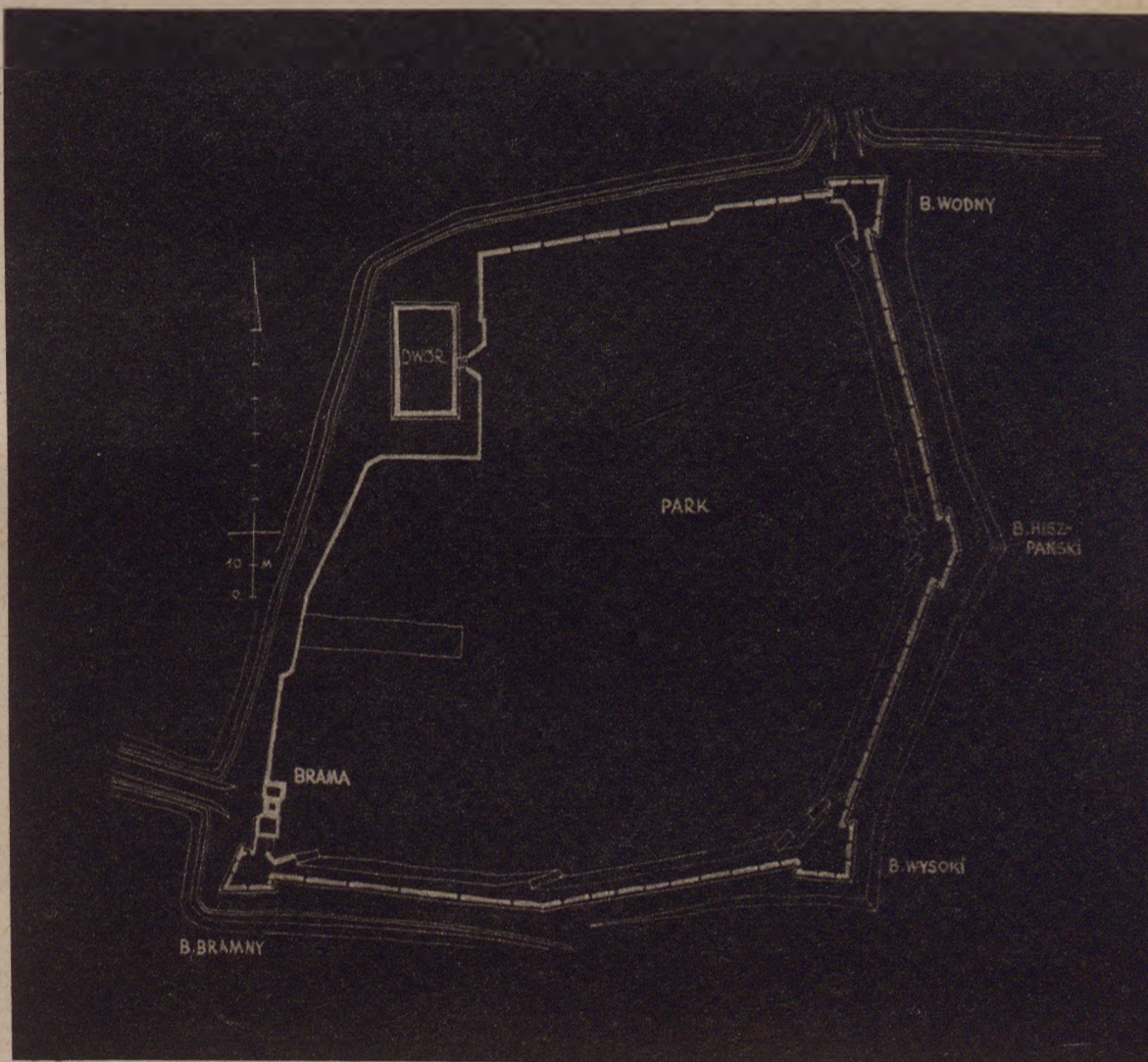
1



2



3



4

1 Tak wygląda czemiernicki dwór Firlejów, gdy się nań spogląda z grobli. Wszystkie zdjęcia i rysunki autora.

2 Brama wjazdowa czemiernickiej twierdzy. Dojazd do niej wiedzie przez groblę.

5



3 Strzelnica barku i tzw. orion bastionu Wysokiego, element niezwykle rzadko spotykany w fortyfikacjach polskich.

4 Plan czemiernickiej twierdzy wg S. Komornickiego z wykonanymi przez autora poprawkami i rekonstrukcją wału i fosy.

5 Bastion Wysoki, znajdujący się w najwyższym punkcie czemiernickich fortyfikacji.

nowych". Składają się one zasadniczo z dwóch elementów: kurtyn i bastionów. Jak wyglądają, najlepiej zobrazuje rysunek 3. Dlaczego przez czterysta niemal lat układ tych właśnie elementów był popularnym systemem obrony? Spróbujmy to wyświetlić. Zasada zestawienia bastionów i kurtyn opierała się na prostych założeniach:

Jeżeli za murem ustawi się działo, to strzelnica umożliwi wprowadzić wgląd na przedpole, lecz jednocześnie ograniczy pole obstrzału. Powstaje więc pewna przestrzeń, w którą działo strzelać nie może — pole martwe. Widać to wyraźnie na rysunku 4a. Gdyby dostał się w to pole nieprzyjaciel, działo nic nie mogłoby mu zrobić.

Martwe pole likwiduje ogień prowadzony z barku bastionu. Jednak i tutaj powstaje takie pole. Widać to na rysunku 4b. Usuwa je z kolei ogień artylerii lub broni ręcznej z przeciwnego barku (rysunek 4c). Takie rozwiązanie obrony poszczególnych elementów fortecy to dopiero jedna strona zagadnienia. Nie wystarczy się bowiem tylko bronić, trzeba także atakować.

Ogień z bastionów i kurtyn spełniał również i to zadanie. Spróbujmy wyobrazić sobie sytuację na przedpolu fortyfikacji, już poza fosą. Strzelnice ograniczały obstrzał przedpola, widać to na rysunku 5. Działa kurtyny mogły oblegającego skutecznie razić w polu a, b, c, d, działa

barków w polach e, f, g, wreszcie działa frontów bastionów w polach h, i, k, l. Wszystko oczywiście pod warunkiem, że każde działo mogło strzelać w promieniu 60°.

Pola te przecinając się na wykresie tworzą osobliwy deseń. W systemie bastionowym nie ma więc teoretycznie takiego miejsca na przedpolu, w które by działa twierdzy nie mogły

strzelać (rysunek 5). Co więcej — bardzo nieliczne (białe) powierzchnie ostrzeliwane są tylko z jednego miejsca. Zazwyczaj przedpole znajduje się pod ogniem artylerii fortecznej prowadzonym z dwóch (pionowe kreski) lub nawet trzech (krata) różnych miejsc. Powierzchnie te znajdowały się więc w tzw. „ogniu krzyżowym”. Łatwo sobie wyobrazić, że pod takim obstrzałem trudno byłoby prowadzić prace oblężnicze.

Należy dodać także, że bastiony i kurtyny zwykle tworzyły zamknięte wieloboki, mogące się teoretycznie bronić z jednakową siłą na wszystkie strony. Wobec tylu zalet fortyfikacji bastionowej nie można się już dziwić, że przez tak długi czas była podstawą wszystkich niemal systemów obronnych.

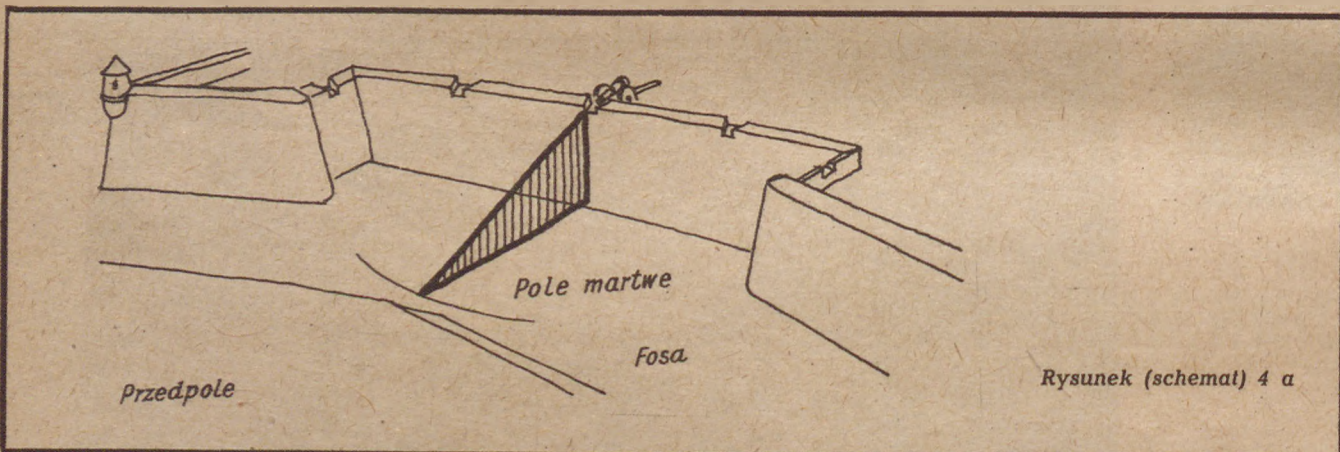
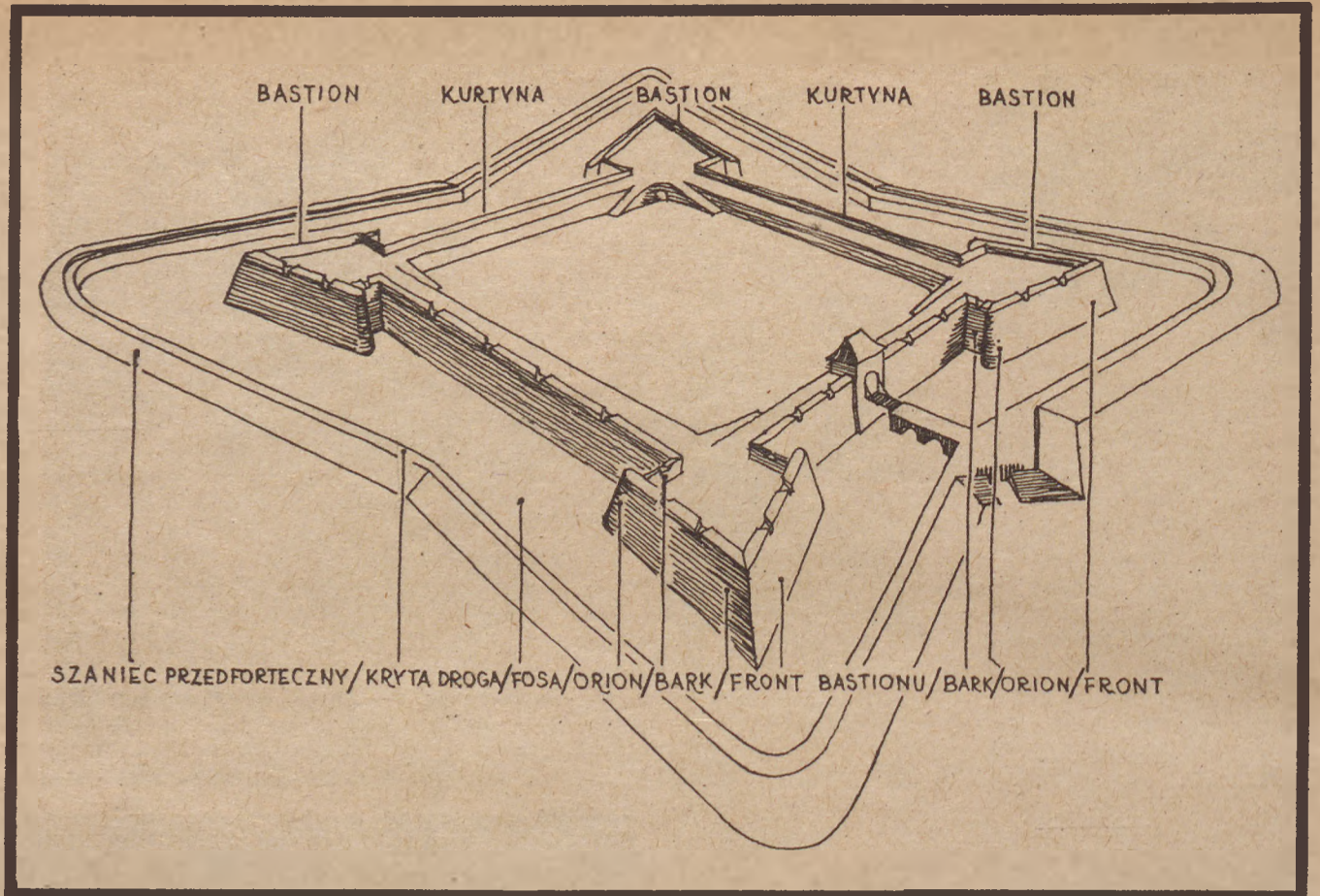
Co to jest system obronny? Nazywano tak zbiór prawideł, według których budowano twierdzę. Był więc np. system starowłoski, holenderski, wobanowski. Systemy zaś z kolei miały różne lokalne odmiany, nazywane „szkołami”.

Po tych wyjaśnieniach możemy znowu powrócić do czemiernickiego dworu. Spróbujmy rozwiązać problem, czy jego obwarowania były prawdziwą twierdzą, czy tylko dekoracyjnym ogrodzeniem. W tym celu musimy postawić dwa pytania: czy rozplanowanie czemiernickich umocnień mogło sprostać regularnemu oblężeniu, a następnie czy elementy tej fortyfikacji mogły wytrzymać ogień artylerii oblężniczej. Najpierw od-

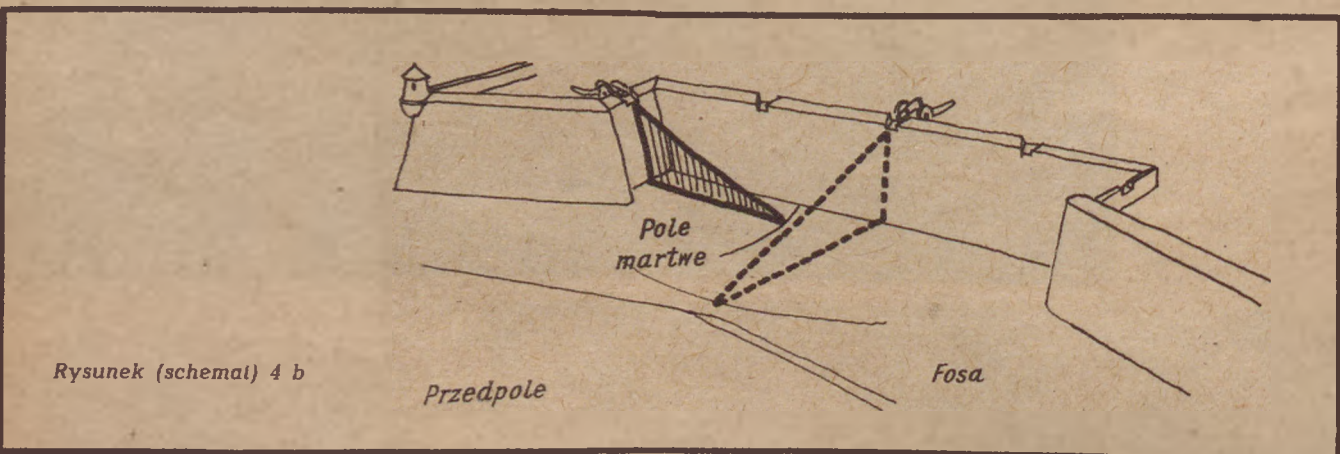
PIERWSZE PYTANIE

Ażeby ułatwić sobie analizę planu fortyfikacji, jej czworoboczny układ podzielimy na 4 fronty: wschodni, zachodni, północny i południowy.

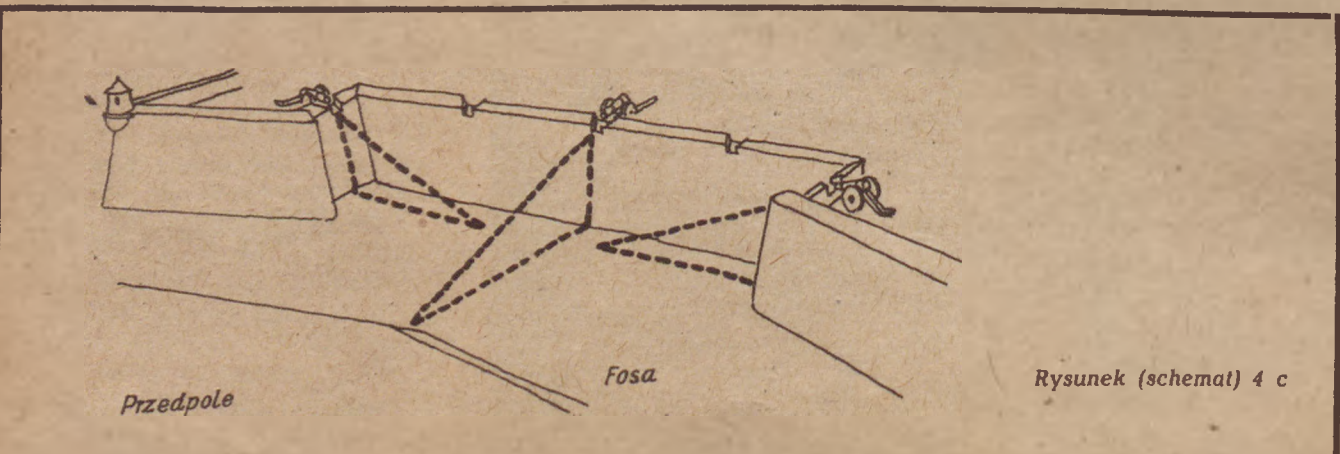
Zacznijmy od przedstawionego na rysunku 6 frontu południowego. Składają się nań bastiony Bramny i Wysoki oraz kurtyna, załamana w połowie długości. Dlaczego długość kurtyny jest tak znaczna i dlaczego



Rysunek (schemat) 4 a



Rysunek (schemat) 4 b



Rysunek (schemat) 4 c

załamano ją na zewnątrz? Na pozór jest to niezrozumiałe. Tu mała dygresja: załamanie do wewnątrz było często w fortyfikacji stosowane, zwano je „kleszczami” lub z francuska „tenalami”; kleszcze takie umożliwiały prowadzenie ognia krzyżowego bez użycia bastionów. Jaką jednak korzyść mogło dawać załamanie na zewnątrz, rozpraszające ogień?

Sprawę wyjaśnia schemat rozłożenia ognia artylerii fortecznej przedstawiony na rysunku 6. Najpierw wady: dwa pola martwe przy wewnętrznych barkach bastionów (zaznaczone czarno) oraz znaczne powiększenie pól pozbawionych pokrycia ogniem krzyżowym (białe). Spostrzegamy jednak od razu, że największe z nich wypada akurat na taflę jeziora, ponadto zakres ostrzału z kurtyny znacznie się powiększył (w porównaniu z rysunkiem 5). Co więcej, prawe pole pokryte trzykrotnym ogniem (krata) artylerii fortecznej ogromnie się wydłużyło i głębokim klinem wysunęło w przedpole!

A już wręcz niezwykłą jak na ówczesne stosunki rzeczą był w tym układzie prawy bark bastionu Bramnego. Jego konstrukcja umożliwiała ustawienie nawet 4 dział: 1—2 w kazamacie i 2 na wale. W jakim celu zgrupowano tutaj tak silną baterię, podczas gdy pozostałe bastiony mogły pomieścić tylko 1—2 armat? Otóż na skutek poszerzenia barku, a przede wszystkim załamania kurtyny na zewnątrz uzyskano bardzo głęboki wgląd w przedpole forticy. Przypomina to „tradytory” stosowane w 300 lat później.

Bastiony czemiernickie wyraźnie dostosowane są do warunków terenowych, a trzeba pamiętać, że w XVI i XVII wieku trzymano się przeważnie schematów, nie licząc się z konfiguracją terenu. Bastion Bramny, zewsząd otoczony szeroko rozlaną taflą stawu, mniej narażony jest na bliski ogień artylerii. Posiada kazamaty — a więc nastawiony był na walkę z bliska. Natomiast Bastion Wysoki, szczególnie wysunięty pod ogień oblegającego jest silnie rozwarty (co wzmacnia jego konstrukcję) i wypełniony ziemią.

Przejdźmy do przedstawionego na rysunku 7 wschodniego frontu umocnień. Tylko od tej strony można było przeprowadzać regularne oblężenie, front ten był więc szczególnie starannie ufortyfikowany. W załamaniu kurtyny wprowadzono jeszcze jeden bastion, którego równoległy do kurtyn front powoduje silne spłaszczenie całego elementu.

Jaka więc była rola tego bastionu, skoro jego front powtarza linię kurtyn? Chodziło o zlikwidowanie pól martwych przy barkach bastionów, a więc usunięcie wady frontu południowego. W konsekwencji spowodowało to zagęszczenie i pogłębienie pól krytych trzykrotnym ogniem krzyżowym (krata) a zmniejszenie pól ostrzeliwanych tylko ogniem prostym (białe pola).

Rysunek 8 wyjaśnia, co się dzieje na styku frontów południowego i wschodniego, naprzeciw bastionu Wysokiego, najbardziej narażonego na ataki wroga. Na pozór sytuacja przedstawia się tutaj nieco gorzej. Do istniejącego pola martwego przy barku dochodzi drugie (czarne) przy narożu bastionu, oraz niewielkie pole

pozbawione ognia krzyżowego. Wzmianka za to powstają jednak dwa duże pola, na których krzyżuje się ogień nie z trzech, a z czterech różnych punktów forticy (krata obwiedziona grubo).

Twórca fortyfikacji przekładając więc obronę ofensywną (przedpole) nad pasywną (fosa) starał się jak najbardziej uaktywnić obronę.

Inaczej rozwiązano dwa pozostałe fronty: północny i zachodni, z natury zabezpieczone wielkimi stawami. Zastosowano tutaj mianowicie „piłę”, zwaną z francuska „cremaille”. Długo, proste fronty umożliwiają strzelanie z dział na wprost, zaś barki „piły” zabezpieczają w pewnym stopniu krzyżowanie ognia i obronę z bliska. Fronty te były naturalnie bez porównania słabsze, ale wystarczające w dogodnych warunkach terenowych.

Dwór znajduje się w narożu, w najbezpieczniejszym miejscu fortyfikacji. Twórca warowni nawet i tu nie zapomniał o obronie i oddzielił dwór od reszty warowni fosą. Tym sposobem stał się on niejako ostatnią ucieczką obrońców, jakby nowożytnym donżonem. Należałoby teraz z kolei odpowiedzieć na

DRUGIE PYTANIE

Przypomnijmy je: czy umocnienia dworu czemiernickiego mogły wytrzymać ogień artylerii oblężniczej? Grubość muru kurtyn i bastionów wynosi ponad metr u góry, dołem zapewne dochodzi do dwóch metrów. A więc jako oszkarpowanie ziemnego wału mur jest wystarczająco gruby.

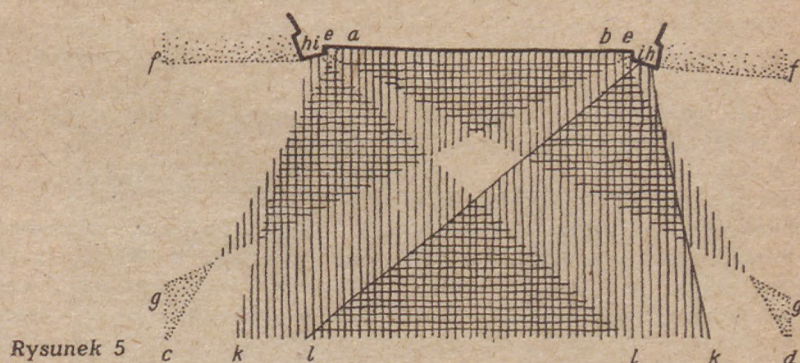
Dzisiaj co prawda mógłby ktoś wziąć niektóre odcinki murów za zwykłe ogrodzenie. Przy bastionach Bramnym, Hiszpańskim i Wodnym wał ziemny zniesiono, zostały tylko mury, dawne umocnienie nasypu. Przy bastionie Wysokim wał zachował się w pełni i o sile jego świadczą wymiary: dołem ok. 10 metrów, górą ok. 5—6. A więc nie może być już wątpliwości, że jest to regularny wał forteczny. Gdy porównamy jego wymiary z obwałowaniami innych prywatnych twierdz polskich, okaże się, że nie były od nich wcale gorsze. A więc nie ulega wątpliwości, że mury i wały czemiernickie zdolne były przeciwstawić się regularnemu oblężeniu.

Z wałami nierozzerwalnie związana jest fosa. Fortyfikacje Czemiernik i tak z trzech stron otoczone były wodą, więc fosę założono tylko przy froncie wschodnim i częściowo południowym. Zachowane resztki pozwalają stwierdzić, że miała ona dołem ok. 8 metrów, a u góry około 12 metrów szerokości. Głębokość mogła prawdopodobnie zaniżać około 2/3 wysokości wału. Czy przed fosą była tzw. kryta droga — trudno dziś dociec.

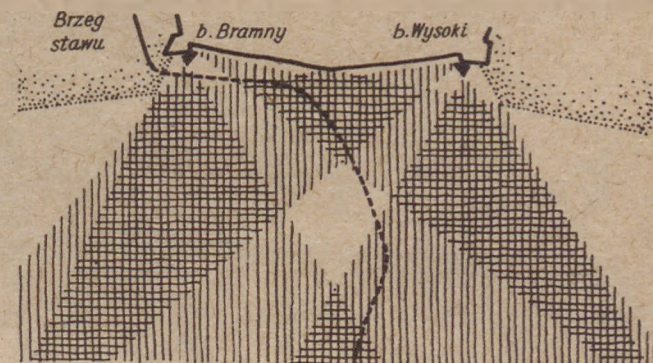
KRÓTKIE WNIOSKI

Przed wszystkim trzeba stwierdzić, że Czemierniki to prawdziwa twierdza i to nie byle jaka w swoim rodzaju. Świadczy o tym już samo usytuowanie fortyfikacji w oparciu o wielkie stawy. Mówi o tym także umieszczenie umocnień w poprzek lekkiego stoku, pochylonego ku twierdzy, co umożliwia wspaniałą obserwację ewentualnych robót oblężniczych.

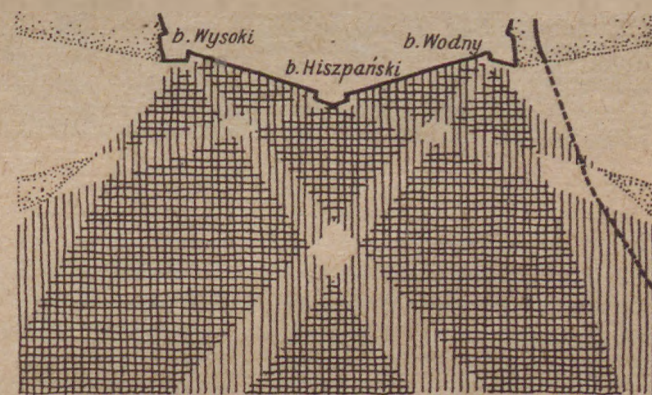
O dokładnym przemyśleniu samego



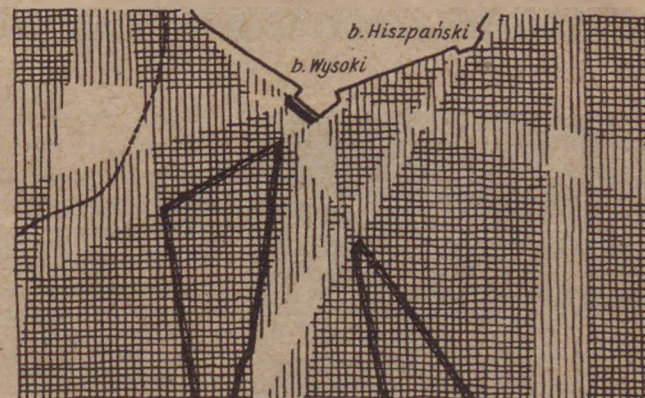
Rysunek 5



Rysunek 6



Rysunek 7



Rysunek 8

planu umocnień świadczy doskonałe przystosowanie ich do warunków terenowych, co przejawia się w użyciu różnych frontów. Dodajmy jeszcze, że od najbardziej zagrożonej strony fortyfikacja była najmocniejsza, a budynek mieszkalny znalazł się w najbezpieczniejszym miejscu. Na uwagę zasługuje także fakt, że główny nacisk położono na obronę przedpola, a nie murów.

Dwa na pozór drobne elementy czemiernickiej twierdzy szczególnie wyróżniają się oryginalnością pomysłu: prawy bark bastionu Bramnego i bastion Hiszpański. Moim zdaniem, stanowią one istotny wkład w

sąsiednich bastionów. Spełniał więc rolę tak zwanego „kojca”, będąc równocześnie rodzajem bastionu. Można by go więc uznać za coś pośredniego między „piatta forma” (staro włoskim bastionem pomocniczym o płaskim froncie), a bastionem szkoły hiszpańskiej.

W końcu pozostają do rozstrzygnięcia

TRZY PROBLEMY

Oto one: do jakiego systemu należy twierdza i kiedy została zbudowana, kto ją projektował i wreszcie czy podobne twierdze są jeszcze w Polsce? Niełatwo będzie rozwiązać te

ku XVII wieku, ponieważ wtedy właśnie występują w Polsce fortyfikacje systemów nowowłoskich. Opierając się na napisie nad bramą twierdzy: *dla swojej i swoich wygody i bezpieczeństwa...* można by przyjąć podaną tam datę 1622 za rok powstania fortyfikacji. Niestety, słowo *securitati* (w oryginalnym łacińskim brzmieniu napisu) znaczy zarówno *bezpieczeństwo*, jak i *spokój* i *bez troska*. Choć więc jest bardzo prawdopodobne, że twierdza wraz z bramą powstała w roku 1622, mniej więcej w okresie budowy dworu — nie jest to jednak pewne.

Kto był budowniczym fortyfikacji?

teratury. Inne twierdze systemów włoskich, jak Zamość, Wisłoujście, Kostrzyń były fortecami w skali państwowej znacznie większymi od Czemiernik. Zdaje się więc, że w „klasie”, jakby można powiedzieć, twierdz prywatnych, Czemierniki w systemie nowowłoskim nie mają w Polsce odpowiednika.

Stan badań nad historią fortyfikacji w Polsce i brak publikacji na ten temat — oto przyczyny tego, iż nie możemy na razie powiedzieć zbyt wiele. Mam jednak nadzieję, że postępowanie w tej zaniedbanej gałęzi wiedzy kiedyś pozwoli bardziej wyczerpująco odpowiedzieć na postawione tutaj pytania. Dziś w każdym razie możemy stanowczo stwierdzić, że fortyfikacje Czemiernik to nie „groźne z wyglądu ogrodzenie ogrodów”, ale prawdziwa, rzadkiego rodzaju i niezwykle interesująca twierdza polska. Nie były więc przesadą słowa M. Głóskowskiego, poety, który pisał w roku 1643:

Więc gdy nie dbają na groty i luki
Niech się szanc na szanc przeciwny
[zasadzi,
A jeśli oni w swe ująją działa,
Będą też u nas lepsze i bez mała.

Trzeba powiedzieć jeszcze jedno: podobnie jak i inne zabytkowe twierdze, tak i czemiernicka sypie się w gruzy i może nie doczekać czasu, kiedy stan badań naukowych uzna ją za pełnowartościowy zabytek kultury narodowej.

Pałac Firlejów w Czemiernikach widziany od strony parku.

PRZYPISY

1 Komornicki S., *Dwory murowane w Małopolsce z czasów Odrodzenia*, Prace Komisji Historii Sztuki, tom V, zesz. 1, Kraków 1930.

2 Krótka wzmianka o twierdzy czemiernickiej znajduje się również w książce J. Zachwatowicza *Twierdza Zamość, ewolucja fortyfikacji*, Warszawa 1936.

Twierdza	Szerokość korony wału	Grubość omurowania
Czemierniki	około 5—6 m	około 1 m
Danków	„ 6 m	„ 0,9—1 m
Wiśnicz	„ 8 m	„ 1,2—2 m
Łodygowice	„ 9 m	brak
Krzepice	„ 10 m	brak
Zamość	„ 15 m	około 3 m

historię polskiej fortyfikacji.

Pierwszy z tych elementów jest niejako prototypem późniejszego „tradytora” (o czym już była mowa) czyli urządzenia pozwalającego ostrzeliwać z ukrytego miejsca dalekie przedpola fortyfikacji. Dużą oryginalnością odznaczał się też bastion Hiszpański. Zasadniczym jego przeznaczeniem była obrona fosy i barków

problemy — spróbujemy uczynić to przynajmniej częściowo.

Stosunkowo krótkie kurtyny, obszerne i spiczaste bastiony, zastosowanie orionów i tendencja do geometryzacji planów wskazują na system nowowłoski, stosowany w Italii w drugiej połowie XVI wieku. Należałoby więc czas budowy twierdzy umiejscowić w końcu XVI lub począt-

Nie udało mi się znaleźć żadnych informacji. Musiał to być z pewnością zdolny fortyfikator, doskonale znający swój fach. Być może był to któryś z licznych włoskich mistrzów działających podówczas w Polsce. Który z nich jednak — trudno dociec.

Wreszcie ostatni problem. Nie znam na terenie Polski twierdzy podobnej do Czemiernik ani z autopsji, ani z li-

którzy? Pewne jego przejawy, jak ochrona zabytków, akcja popularyzacyjna, działalność wydawnicza istniały cały czas, kontynuowane przez starych, zasłużonych działaczy pod prześlakierowanym szyldem, choć wyprane z uczuciowości i patriotyzmu, na które „nie było klimatu”. Najgorzej było z regionalizmem, jak się wydaje, celowo zacieranym i zwalczanym przez tzw. „czynniki”.

— Zgoda. Powiedzmy więc, że dokonuje się prób wskrzeszenia nie tyle samego krajoznawstwa, ile dawnych jego form. Czy pomoże 600-ty-

sięczny prąd, etaty, biuletyny, instruktorzy — gdy chodzi o odtworzenie form przeżytych? Gdy skończy się prąd pieniężnej elektryki — drgawki ustaną.

— Naszym zdaniem pański pesymizm jest bezpodstawny. Gdyby PTK istniało bez przerwy — i tak niewątpliwie formy jego działania ulegałyby modyfikacjom lub nawet radykalnym przemianom. Życie płynie. W rzeczywistości chodzi w tej chwili nie tyle o definicje, ile o nowe formy organizacyjne dla ruchu, istniejącego od kilku lat w rozproszeniu.

Nie ma potrzeby galwanizowania rzekomych zwłok czegoś, co żyje nadal. Ze snu natomiast można obudzić ukłuciem szpilki, co niniejszym staramy się uczynić.

Na szczęście krajoznawstwo jako ruch nie jest pojęciem abstrakcyjnym. Są ludzie — działacze starzy i młodzi, drobne ugrupowania prowincjonalne. Teoria? Plany pracy? Istnieją prawdopodobnie setki, jeśli nie tysiące. Krajoznawstwo jest pojęciem bardzo szerokim, mieści więc w sobie rozległą skalę różnorodnych zainteresowań i kierunków działalności,

**GALWANIZACJA
WIWISEKCJA
REINKARNACJA**

• DOKOŃCZENIE •

Kominy ze słomy

to jeden z ciekawszych reliktyw budownictwa ludowego. Chata posiadająca taki komin bystrzejszemu obserwatorowi od razu rzuca się w oczy. Komin bowiem ze słomy nie odcina się tak ostro od dachu jak murowany, a w wypadku występowania kalenicy¹ często przypomina duży garb.

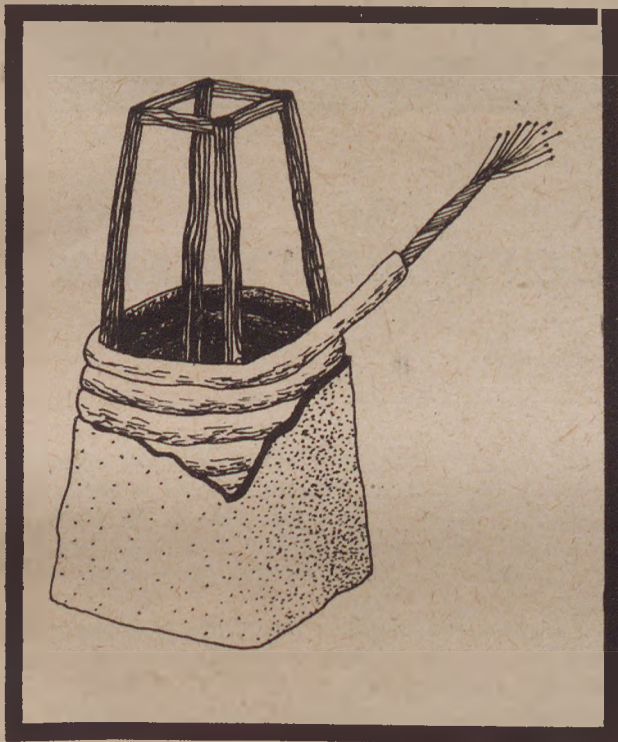
Konstrukcja komina ze słomy jest niezmiernie prosta. Składa się on ze szkieletu wykonanego z czterech lekko

Komin nadaje się do użytku, skoro tylko glina podeschnie. W miarę upływu czasu glina wypala się coraz bardziej. Konstrukcja — na pozór słaba — odznacza się jednak znaczną wytrzymałością. Mieszkańcy wsi Świątniki w powiecie sandomierskim, którzy przed wojną zatrudnieni byli przy rozbiórce pewnej starej chałupy, do dziś wspominają z jakim trudem przyszło im rozbić jej „słomiany komin“.

Kominy ze słomy występowały daw-



(u góry) Na obrazie Norblina „Chłopka lubelska” widzimy na drugim planie chałupę z typowym słomianym kominem.



(z lewej) Rysunek wyjaśniający konstrukcję słomianego komina.

(obok) Komin ze słomy posiada przedstawiona na zdjęciu chałupa ze wsi Świątniki koło Sandomierza, licząca około 200 lat.

pochylonych ku sobie żerdzi, połączonych w górze poprzeczkami, oraz ze słomianych ścian. Do budowy ich używa się długich powróseł, grubo oblepionych gliną dla ochrony przed ogniem. Powróslami okręca się szkielet tak szczelnie, by nie zostawić szpar i otworów. Następnie glinę rozmazuje się rękoma, wyrównując w ten sposób mniej więcej grubość ścian, a zarazem zalepiając pozostałe szczeliny.

niej pospolicie prawie w całej Polsce — z wyjątkiem obszarów górskich, oraz okolic, z których wyparły je kominy murowane. Obecnie relikotowo zachowały się gdzieś na wschód od Wisły. Na lewym jej brzegu należą te kominy do wyjątkowych okazów spotykanych wyłącznie w najstarszych domach. Tak np. we wspomnianych wyżej Świątnikach znalazłem już tylko dwa. Jeden — na chacie liczącej ok.

200 lat, należącej do Andrzeja Dragana. Nie udało mi się natomiast ustalić bliżej wieku drugiej, również bardzo starej chaty, wyposażonej w komin tego typu.

W niektórych okolicach, jak np. na Kaszubach, omawiane kominy występują w formie szczątkowej. Ze słomy wykonuje się tu jedynie ich górną część — dolna jest w pobliżu paleniska murowana.

Kominy ze słomy stanowią przykład idealnego przystosowania się ludowej techniki budowlanej do najtańszych materiałów (słoma, żerdzie, glina), o które łatwo w każdym gospodarstwie.

JANUSZ KAMOCCI

¹ Kalenicą zwie się grzbiet dachu słomianego oblepiony gliną.

zgodnie z tym, cośmy powiedzieli o różnych zapatrywaniach na istotę krajoznawstwa. Niektóre ośrodki prowincjonalne przetrwały okres oficjalnego letargu 1950—56 w niezłej formie i dziś wykazują zdumiewającą prężność. Tak więc w te ośrodki, jeśli dalej tkwimy w przenośniach, wcieliła się jakby „dusza” krajoznawczej idei PTK.

— A więc — przerwał nam Przyjacieli — nie wasze Towarzystwo prowadzi pracę krajoznawczą, a poszczególni ludzie na własną rękę w tak zwanym laskawie „terenach”, czyli na

provincji. Równie dobrze mogliby to robić, nie należąc do PTTK, bądź też pod inną firmą. Nowe harcerstwo kładzie silny nacisk na krajoznawstwo, choć i tam jest również wiele „prywatnej inicjatywy”. Albo szkolne koła krajoznawcze, niegdyś chluba PTK. Czytałem ostatnio, że istnieje dziś 1500 kół krajoznawczych w szkołach — poza PTTK. Trochę ta liczba za piękna i za okrągła. To nieważne. Wniosek jest taki: nie macie w PTTK atrakcyjnego programu ogólnego, nie macie nowoczesnej metodyki.

— Oczywiście, może Pan mieć ra-

cję. Stara koncepcja nie chwyta. Generalnym programem nie może być zrodzona w pałacowych warunkach odwetowa tendencja do zdławienia turystyki przez tzw. „treść krajoznawczą”. Nowa koncepcja — jak już mówiliśmy — istnieje w rozproszeniu. Dla głosów w tej sprawie otwieramy trybunę — łamy „Ziemi”. Wiemy oczywiście doskonale, że młodość myśli nie jest bynajmniej zależna od wieku.

Spisując tę rozmowę w dobrej intencji przejaśkrawiliśmy skrajność poglądów. Oto materiał do rozważań. Niejednemu czytelnikowi — przeciw-

nikowi lub zwolennikowi pesymistycznego Przyjaciela, przyjdzie do głowy celny argument lub inna myśl szczęśliwa, czego i sobie życzymy.

PRZEMYSŁAW BURCHARD
JANUSZ GRZYBOWSKI

W następnych numerach ZIEMI — dalsze rozmowy z naszym starym i wypróbowanym przyjacielem. Czekamy na uwagi o pierwszej i prosimy o nie.



MARIA LECHOWSKA

Siewierz miasteczko rzemieślników

„W Imię Twoje Jezu Najświętszy Panie Amen. Akta Cechu Garncarskiego Miasta Siewierza za Prezydentycy Panow...” — rozpoczyna się założona w 1818 r. księga cechu garncarzy z Siewierza. A dalej, na zetłanych od starości i wilgoci kartach czytamy, że:

„W roku Panskym 1818 Dn Trzydziestego Miesiąca Marca Nastąpiło Rozłączenie Od Cechu Krawieckiego Cechu Garncarskiego Ponieważ W Imieniu Najjaśniejszego Aleksandra I-o Cesarza Wszecchossyi i Krola Polskiego etc etc Namiestnika Krolewskiego Radzce Stanu chcąc przez Uporządkowanie Rzemiosł w Krolestwie Polskim przyłożyć się do ich wzrostu...”

I tak dalej, i dalej. Staranne, pełne ozdoby zawijasów piśmo pierwszego protokolanta sprzed 139 lat wkrótce ustępuje narastającym z roku na rok coraz to nowym zapiskom braci cechowej, kreslonym przeważnie drżąca i niewprawną ręką. Aż wreszcie gdzieś na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia zapiski w księdze się kończą. Kończą się jak i cały cech garncarzy siewierskich, z biegiem lat przerażający się coraz bardziej w czysto religijne bractwo. W drewnianym skarbcu cechowym, przechowywanym pod łóżkiem w domu syna ostatniego cechmistrza, obok zapleśniałej księgi cechowej walała się garść rachunków, a w półskrzynku — małym, bocznym schowku o podwójnym dnie — tkwił plik papierowych rubli carskich. Tyle zostało pamiątek po zmarłym cechmistrzu ginącego cechu. Syn jego — drobny, zabiedzony staruszek — jakoś niewiele pamięta z dawnych tradycji cechowych.

Od jak dawna istnieje garncarstwo w Siewierzu — trudno ustalić, z protokołu cechowej księgi dowiadujemy się bowiem tylko o istniejącym tu już przed rokiem 1818 cechu garncarsko-krawieckim. Na temat przeszłości jednak księga milczy. O liczebności natomiast tutejszych garncarzy w XIX wieku świadczą spisy majstrów i czeladników obejmujące dziesiątki nazwisk. Garncarzy w Siewierzu było więc wielu. Zawód najczęściej dziedziczono z ojca na syna. Oprócz swego warsztatu każdy prawie garncarz posiadał kawałek ziemi, który uprawiał. Ale pod koniec XIX wieku zaczyna być garncarskiej braci cechowej ciasno w rodzinnym miasteczku. Coraz trudniej konkurować z żelaznymi naczyniami fabrycznymi. Coraz ciężiej o klienta. Czyż można się przeto dziwić jednemu z nich, że znalazłszy nowe pokłady doskonałej gliny garncarskiej, tańsz z zazdrośnie swe odkrycie kopiując i transportując surowiec nocami? Na nic się to zresztą nie zdało. Odkrywca, systematycznie śledzony przez innych garncarzy, ujawnił wreszcie miejsce cennych pokładów. Ale i to niewiele pomogło garncarzom z Siewierza. Dochód z wyrobu garnków coraz bardziej nie wystarczał na za-

spokojenie wydatków pierwszej potrzeby. Konkurencja fabryk rosła. I chociaż ludzie nadal z zazdrością mówili o garncarzu, że „z błota narobi złota”, to równocześnie jednak za jadącym na jarmark wozem garncarza-biedaka wołali ironicznie, że oto jedzie „honorowy” rzemieślnik, który się po spadający na ziemię towar nie schyla.

Dziś czerwone, skąpo i oszczędnie muśnięte glazurą naczynia 6 siewierskich garncarzy, wytoczone w ciemnych, wiecznie wilgotnych warsztatach wędrują od czasu do czasu na wystawy sztuki ludowej. Znaleźć więc można na takich wystawach tradycyjne bańki siewierskie i mniej już zgoła tradycyjne flakoniki zdobne „od parady” białym wężykiem. Na codzień robi się tu jednak wyłącznie proste, szorstkie doniczki ogrodnicze. Bo te można dziś najłatwiej sprzedać. I chyba na tym banalnym naczyniu zakończy się twórczość siewierskich garncarzy.

Los garncarstwa siewierskiego to tylko jeden z przejawów o wiele szerszego i powszechniejszego upadku dawnych tradycyjnych ośrodków rzemieślniczych w Polsce, pracujących na potrzeby otaczających ich wiosek. Siewierz był właśnie takim ważnym ośrodkiem wytwórczym dla swego regionu. Dziś brzmie to może mało przekonująco w uszach kogoś, kto tu przyjeżdża autobusem z Katowic lub Częstochowy i kto przejdzie piaszczystymi, nie wybrukowanymi uliczkami. Obsiadły te uliczki po obu stronach szpalery drewnianych, parterowych ruder krytych z miejską papą. Tu i ówdzie szczerzą zęby nie otynkowane domki-potworki o oszczędnościowych kształtach, zbudowane chyba z przysłowiowych „trzynastu cegieł”. To pierwsze zwiastuny nadciągającego od strony Śląska uprzemysłowienia.

Miasteczko uderza zaniedbanie i martwością. Mała miścina — nawet nie powiatowa. Ale nie można zbyt pochopnie sądzić Siewierza po jego dzisiejszych rozmiarach. Oto np. na niemieckiej mapie europejskich połączeń pocztowych z 1856 r. Siewierz figuruje jako przystanek dylżansów pocztowych, gdy tymczasem na tej samej mapie daremnie szukalibyśmy dzisiejszej na wschód od Siewierza położonej stolicy powiatu — Zawiercia, ani nie znaleźlibyśmy stolicy województwa — Katowic.

Był sobie tedy ów dziewiętnastowieczny Siewierz — dawna stolica księstwa — prawdziwą stolicą rzemiosła dla swojej okolicy. Odrębne własne cechy mieli tu nie tylko garncarze i krawcy, ale również kowale, rymarze, szewcy, powroźnicy, bednarze, rzeźnicy i tkacze... Ba, do dziś Siewierz szczyli się tradycją posiadania jeszcze ponoć w XVIII wieku odrębnego cechu złotniczego. I podobno można oglądać w siewierskim kościele monstrancję wykonaną ongiś przez miejscowych złotników.

Jeszcze w niezbyt odległych czasach, które dobrze pamiętają

starzy siewierzanie, zupełnie inaczej tu bywało. Dwa razy w miesiącu urządzano w Siewierzu wielkie jarmarki. W takich dniach miasteczko roiło się od tłumów zjeżdżających tu z całej okolicy. Pod obszernymi podcieniami drewnianych domów otaczających przed I wojną światową siewierski rynek wystawiali swe wyroby miejscowi rzemieślnicy: garncarze szczygający się tym, że nie robią (i „nie robili nigdy”) takich brzydkich siwych garnków jak ich konkurenci ze Szczekocin; kowale handlujący wozami o misternie stemplem zdobionych okuciacz; stolarze wytaczający z warsztatów szeregi sosnowych skrzyń, jaskrawo malowanych „od ręki” w kwiaty i ptaki, i inni. Słowem całe miasteczko. Ale ruchliwi siewierzanie ani myśleli ograniczać się do handlu swymi wyrobami na miejscu. Jeszcze w pierwszych dziesiątkach XX w. np. wozy siewierskich stolarzy wyładowane skrzyniami, kuframi i lichymi sosnowymi łózkami przybywały regularnie co jarmark do pobliskich Żarek słynących z szewstwa i garbarstwa, do Wolbromia, tej regionalnej „stolicy szewców”, a także do uprzemysłowionych miast Zagłębia — do Będzina, Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Tu jednak klient bywał wybredny. Mieszkaniec okręgów przemysłowych, pracujący, jeśli nie stale, to przynajmniej sezonowo w kopalniach, hutach, na kolejach i we wszelkiego rodzaju fabrykach, gardził pstro malowanymi skrzyniami. Żądał mebli „podług miejskiego fasonu”. Kupował kufry lub skrzynię o sprytnie ponabijanych listwach imitujących szuflady. Taka skrzynia od biedy mogła udawać przedmiot ich marzeń — prawdziwą komodę. W ten to bowiem sposób obrotni stolarze z Siewierza starali się uczynić zadość miejskim aspiracjom zagłębiowskiej klienteli.

Dawne wspomnienia o minionej świetności rzemiosła i stare

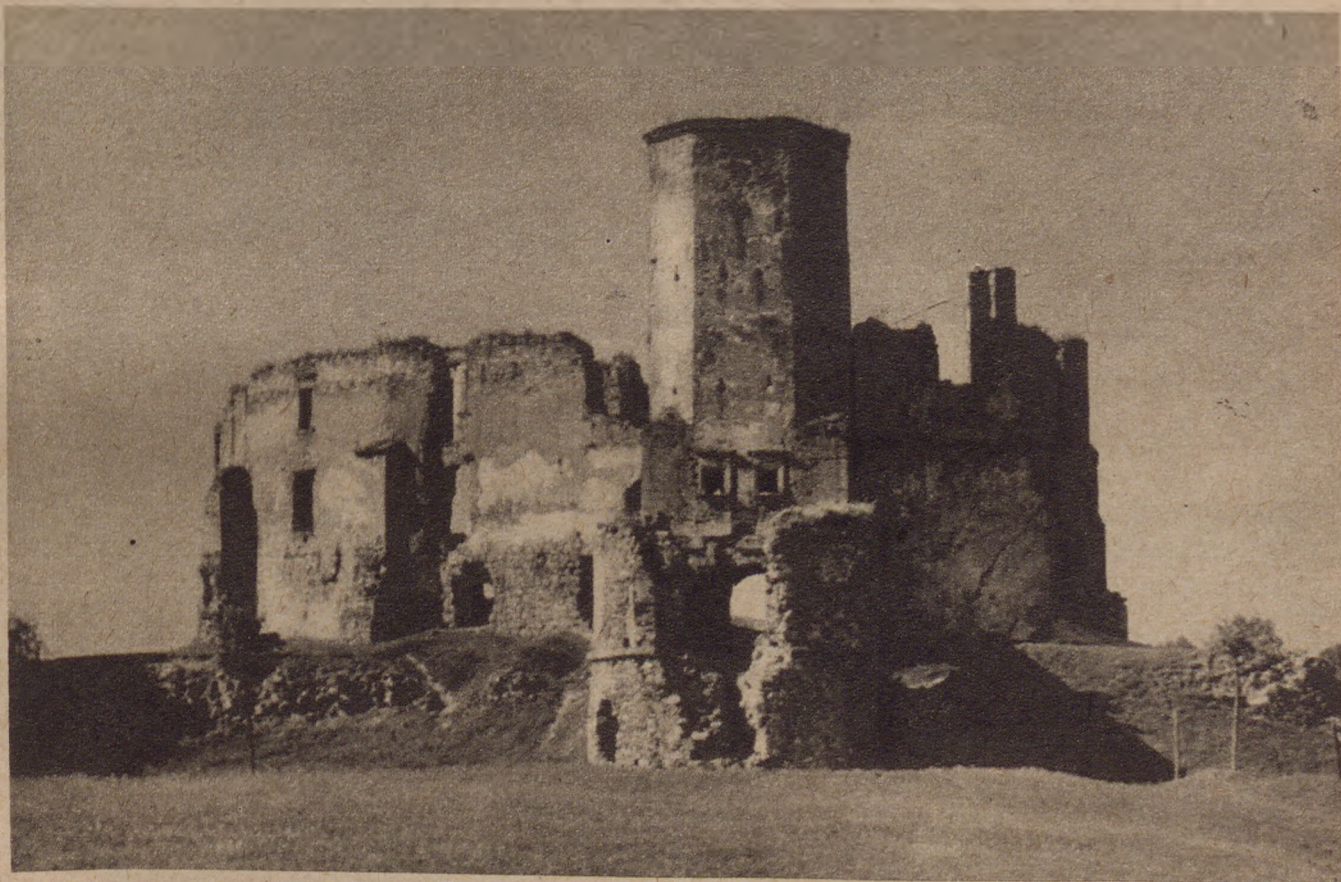
chlusnął w oczy roztopionym łojem z kaganka i umknął ku pruskiej granicy. Jak wreszcie po wielu latach nasz kowal powrócił w te strony, osiadł w Siewierzu i — a jakże — nawet majątku się dorobił, pierwszy rozpoczynając w tej okolicy wyrób żelaznych pługów i sieczkarń. Tej to bowiem „trudnej i wcale nie łatwej, panie, sztuki” nauczył się w dalekiej Bawarii.

Może to i prawda, że po likwidacji poszczególnych cechów rzemieślniczych w okresie międzywojennym akta ich poginęły. Ale czy wszystkie? Czy nie tkwią przypadkiem niepotrzebne i zapomniane np. w powiatowym archiwum w Zawierciu? A może część z nich do dziś pleśnieje w rupieciarńi którejs z rzemieślniczych rodzin siewierskich jak owe zapiski cechu garncarskiego? Tymczasem właśnie te dokumenty mogą mieć nieocenioną wprost niekiedy wartość dla etnografa i badacza historii gospodarczej tej części Jury.

Ale Siewierz to nie tylko zagadnienie historyczne. Jak dawniej tak i dziś mieszkają w nim ludzie. Obecnie po drewnianych podcieniach rynku nie ma śladu. Zastąpiły je mizerne parterowe lub jednopiętrowe domki. Rzemiosło siewierskie jakoś przysgasało, skurczyło się. I nie tylko chyba nowoczesny przemysł podciął rozwój tego ośrodka wytwórczości i handlu. Oto np. w którymś roku po ostatniej wojnie zabroniono podobno odbywania tradycyjnych jarmarków w miasteczku. Przeniesiono je do Zawiercia. Oczywiście po staremu handlowano w Siewierzu, tyle że ukradkiem, pokątnie. Tu niewielki stolik, zostawiony niby przypadkiem na ulicy pod okapem domu informował wtajemniczonego klienta przybyłego z którejs z pobliskich wsi, że w najbliższej bramie czekają nań szeregi łóżek, stołków i szafek, malowanych tandetnie „pod kaukaski orzech”. Tam czuj-

Ruiny zamku biskupów

Fot. Tadeusz Przytkowski.



tradycje żyją w Siewierzu nadal. Mimo iż są one niewątpliwie mocno przesadzone i wyidealizowane w ustach starych majstrów, ludzi steranych wiekiem, często schorowanych i nierzadko zawiedzionych, warto ich posłuchać. Warto chyba usłyszeć od starych miejscowych kowali dawne wspominki o odległych czasach, kiedy to w okolicznych lasach „pławiono” prymitywnymi sposobami rudę żelazną. A już na pewno warto posłuchać historii o kowalu Wyderce z pobliskiej Kuźnicy św. Jana, który w 1863 kuł nocami broń dla oddziałów powstańczych. Jak to przybył po niego o zmroku z Będzina kozakom Wyderko

nie rozglądająca się wokoło kobiecina dawała do zrozumienia, że w podwórzu można nabyć w dużym wyborze wiklinowe kobiałki. Cały ten handel jednak w gruncie rzeczy był — jak się obawiam — przejawem nędznej wegetacji.

Idąc wyboistymi uliczkami Siewierza raz po raz spostrzegamy wiszący nad drzwiami miniaturowy model trumny, wykonany z dość makabryczną dokładnością — szyld pracowni stolarskich. (Trumny to najpewniejszy rodzaj towaru, na który zawsze jest popyt). Nie pozostaną one jednak chyba symbolem losów siewierskiego rzemiosła.

TRYLOGIA TATRZAŃSKA Saysse-Tobiczyka

„Trylogia Tatrzańska” składa się z trzech na pozór całkowicie odrębnych tomów, stanowiących jednak jednolitą, dopełniającą się koncepcję całości popularnej wiedzy o Tatrach i Podhalu. Tom pierwszy „Pod wierchami Tatr” omawia historię przyrody i ludu tatrzańskiego — tom drugi „Na szczytach Tatr” opisuje obecny wygląd Tatr w lecie, jego florę i faunę, rzeźbę terenową, poszczególne łańcuchy, szczyty i doliny, zagospodarowanie terenu, turystykę, ta-

ternictwo i alpinizm podziemny — tom trzeci „Tatry w śniegu” przedstawia piękno i groźbę Tatr w śniegu i lodzie.

Pierwszy ukazał się w listopadzie ub. roku nakładem wydawnictwa „Nasza Księgarnia”, w języku polskim oraz w nakładach słowackim i niemieckim, w grudniu ub. r. wydanych przez „Polonię”. Tom drugi w polskim, niemieckim i czeskim wydaniu ukazał się w grudniu i styczniu 1956/7 w nakładzie wydawnictwa

„Sport i Turystyka” — tom trzeci znajduje się już w realizacji drukarskiej „Sportu i Turystyki”.

Książki te nie są „albumami fotograficznymi”, lecz „ilustracyjnymi dziełami popularnonaukowymi”. Recenzję tomu pierwszego zamieściliśmy w numerze 3/1957 „Ziemi”, drugi — omówimy niebawem, na trzeci na razie z niecierpliwością czekamy. Warto zaznaczyć, że „Pod wierchami Tatr” zniknęło z półek księgarskich szybko pomimo wysokiej ceny.

(obok) Autor zdjęć podczas nakręcania filmu z życia łabędzi na Mazurach.

(poniżej) Rybitwa wracająca do gniazda. Jej pisklęta chroni przed drapieżnikami plamista barwa puchu.

(u dołu strony) Pisklę kaczkę krzyżówki, żyjącej licznie wśród trzciny mazurskich rezerwatów.



ŁABĘDZIE

ZDJĘCIA JANUSZ CZECZ



CZY PAMIĘTACIE BAJKĘ ANDERSENA O „BRZYDKIM KACZĄTKU”, HISTORIĘ ŁABĘDZIEGO PISKŁĘCIA WYCHOWANEGO NA WIEJSKIM PODWÓRKU? MAŁY ŁABĘDŹ BYŁ Z POWODU SWEJ ODMIENNOŚCI POŚMIEWISKIEM DOMOWEGO PTACTWA I KOPCIUSZKIEM WŚRÓD KACZEGO RODZENSTWA.

SĄ TAKIE OKOLICE W PÓŁNOCNEJ POLSCE, GDZIE WŚRÓD ZAROSŁYCH TRZCINĄ JEZIOR POBRATYMCY ANDERSENOWSKIEGO „KACZĘCIA” ŻYJĄ OTOCZENI OCHRONĄ I OPIEKĄ CZŁOWIEKA. ŁABĘDZIE SĄ TU WŁAŚCIWYMI MIESZKAŃCAMI, A WSZELKIE INNE STWORZENIA — INTRUZAMI. OPOWIADA O TYM NINIEJSZY REPORTAŻ.

ŁABĘDZIE

lecą ku mazurskim łęgowiskom wczesną wiosną, często jeszcze przed całkowitym ustąpieniem lodów. Zimą spędzały u wybrzeży zachodniego Bałtyku i Morza Północnego. Co roku powracają na te same miejsca. Poprawiają swe stare gniazda, lub budują nowe, jednak zwykle w pobliżu dawnych. Samiec rozpoczyna wówczas budowę kilku gniazd. Samica wybiera z nich jedno i starannie wykańcza.

Uwite z wodnej roślinności gniazdo łabędzie spoczywa na którejś z kęp, sterczących nad wodą lub kryje się w gąszczach przybrzeżnych moczarów. Samiec otacza je bezustannie czujną opieką i broni obcym ptakom wstępu na dość rozległy teren wokół łęgowskiego. Gdy zbliża się jakieś niebezpieczeństwo ptak puszy się groźnie. Rozdrażniony atakuje zadając niezwykle silne ciosy skrzydłami i dziobem. Dopiero z biegiem lat, w miarę rozrastania się rodziny para starych łabędzi godzi się ze stałym zmniejszaniem terenu otaczającego gniazdo. Z czasem gniazda poszczególnych stada znajdują się coraz bliżej jedno od drugiego.

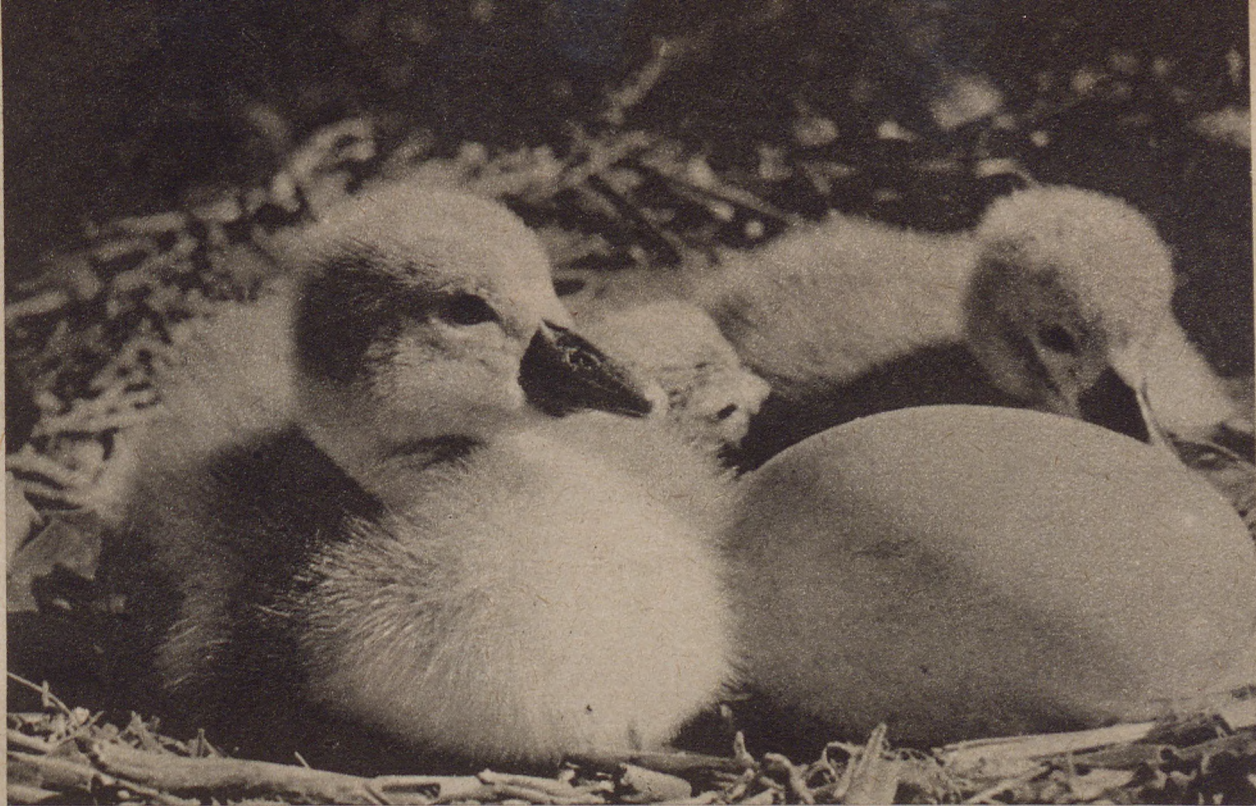
Dobór par jest u łabędzi wieloletni, prawdopodobnie nawet dożywotni. Młode łabędzie doj-



rzewają płciowo w trzecim roku życia. Mimo to zdarza się często, że już dwuletnie ptaki wiją sobie gniazda, choć jeszcze nie składają w nich jaj. Pisklęta łabędzie wykluwają się po upływie mniej więcej 35 dni. Niebawem matka sprowadza je na wodę. Nad bezpieczeństwem rodziny czuwa wtedy samiec, płynący z tyłu stada.

Smukła długa szyja — tylekroć opiewana przez poetów — pozwala naszemu ptakowi sięgać dość głęboko pod wodę w poszukiwaniu żeru. Łabędzie lubią najbardziej wody na tyle płytkie, aby mogły zbierać pożywienie z dna. Chwytają tam małże, żaby, kijanki, traszki, a także małe rybki. Nie gardzą ślimakami, owadami i wreszcie wodną roślinnością.

Łabędziom potrzebny jest spokój nie tylko w czasie za-



(u góry) Wykluwające się z jaj pisklęta łabędzia.

(poniżej) Na gumowej „dinghy” docierali fotografowie w najodleglejsze zakątki rezerwatu wodnych ptaków.

(u dołu) Łabędź-samiec płynący na „żaglu” ze skrzydeł.



kładania gniazd i wysiadywania jaj, lecz również przez cały okres wodzenia młodych, a więc aż do połowy września. Spłoszone stadko piskląt łatwo się rozprasza. Młode, niedoświadczone ptaki podpływają wów-

czas do obcych rodzin łabędzich. Przepędzają je stamtąd czujne samce, nieraz zabijając zbłąkane pisklęta jednym uderzeniem skrzydła lub dzioba.

Oprócz łabędzi dzikich żyją także w Polsce łabędzie hodo-



wane. W takich krajach, gdzie hodowla tych ptaków istniała od dawna, spotyka się jeszcze trzeci rodzaj — łabędzie dziczące. Młode bowiem hodowane w niewoli ptaki jesienią szykują się pod wpływem instynktu do odlotu na zimowiska, wzorem swych dzikich kuzynów. Zdarza się, że nie dopilnowane należycie ptaki gremialnie opuszczają farmy hodowlane, by nigdy już do nich nie powrócić. Później jednak taki zdziczały łabędź mniej się boi ludzi od tych, które wyle-

gły się i wzrosły na wolności.

Dawniej te wspaniałe ptaki wodne były w Polsce o wiele bardziej pospolite niż dziś. Świadczą o tym wzmianki w starych zapiskach, a także wywodzące się od łabędzia liczne nazwy topograficzne. W przetrzebieniu łabędzi popoważny udział mieli chciwi trofeów myśliwi. Dziś mazurskie łęgowiska stanowią ściśle rezerwaty, a same łabędzie pozostają pod ochroną. Dzięki temu ich liczba powoli wzrasta. S. S.

(u góry z prawej) Zaniepokojone mewy krążą nad podpływającymi do ich gniazd „dinghy”. Autorem rysunku z prawej jest Szczepan Hennig.



RECENZJE

Książka wzbudziła duże zainteresowanie. Świadczy o tym fakt, iż otrzymaliśmy kilka recenzji jednocześnie. Wybieramy z nich trzy, nawzajem się uzupełniające: historyka sztuki, człowieka gór i historyka. Brakuje niewątpliwie opinii etnografa, ale żaden z nich się nie wypowiedział. My zaś sa-

mi chcielibyśmy podkreślić to, co stwierdził jeden z recenzentów: to jest książka nie dla wszystkich. Podczas gdy kolejne tomy tatrzańskiej trylogii Sayse-Tobiczyka przemawiają do każdego czytelnika, narzucają mu pewne myśli, działają, choćby ktoś tekstu nie czytał, samym układem i doбором ilu-

stracji, książkę Staicha i Pięnkowskiej czytać będą tylko fuchowcy lub poważnie zainteresowani Podhalem amatorzy. Oddajemy głos recenzentom:

Mówi Marian KORNECKI, historyk sztuki:

„... Klucz zgrzyta wreszcie w bram-

ce prowadzącej do wnętrza. Mimo ciemności widnieje w głębi ołtarzyk, złożony z różnych figur, zawieszony zeschniętymi festonami igliwia i papierowych róż. Spoglądamy raz — drugi, porównujemy na ręce niewielką figurkę Marii i wybiegamy na zewnątrz kaplicy. Wytworna, krucha, delikatna, uka-

DROGAMI SKALNEJ ZIEMI

zuje się naszym oczom jak zjawisko. Lekki kontrast wdzięcznie przechylił jej drobną figurkę, ręce złożone z boku wprowadziły akcent kompozycyjny. Miękki skłon głowy dopełnia rytmu. Twarzyczka o wysokim, wypukłym czole, małych usteczkach i nieco zadartym nosie obdarzona jest, mimo pe-

wnej dworskiej lalkowatości, niemalym wdziękiem, wynikającym z silnie akcentowanej asymetrii... Figurka kojarzy się na pierwszy rzut oka z rzeźbami z początku XVI wieku. Nie tylko spadziste, wąskie ramiona wiążą rzeźbę z tradycją gotycką, lecz także twarzyczka, niezmiernie bliska idealom Stwo-

sza. Posążek musiał niegdyś stanowić część większej kompozycji, której miejscem powstania mogły być dwa ośrodki: jeden na północy — to krakowski warsztat postwoszcowski, drugi na południu — to warsztat w Lewoczy związane z rzeźbami ołtarza mistrza Pawła."

Takimi słowami opisują autorzy moment odkrycia cennej rzeźby późnogotyckiej. Znaleźli ją w odosobnionej kapliczce przydrożnej na szlaku wędrowniki Drogami Skalnej Ziemi. Zresztą nie jest to ustęp wyróżniający się szczególnie spośród kart kroniki wędrowniki, obfitującej w coraz nowe odkrycia i wzruszenia artystyczne, dostępne wędrowcowi.

Wydawać by się mogło, że o sztuce i zabytkach Podhala, Spisza i Orawy napisano już tak wiele, iż każda dalsza książka poruszająca to zagadnienie będzie albo powtarzała znane już spostrzeżenia i ustalenia, albo w znacznej mierze być musi kompilacją wiadomości opublikowanych. Temat ten posiada bowiem tak obfitą literaturę, jaką niewątpliwie nie może poszczycić się chyba żaden inny region. Dawno opracowano poszczególne materiały dotyczące najcenniejszych zabytków architektury, plastyki cechowej, budownictwa drewnianego czy wreszcie bogatej na tym obszarze sztuki ludowej: opublikowanie w r. 1938 opracowanego przez Tadeusza Szydłowskiego, słynnego tomu inwentarza zabytków sztuki powiatu nowotarskiego — wydawało się ostatecznie podsumowywać wysiłki badań naukowych z punktu widzenia historii sztuki.

Tymczasem tak nie jest. Autorzy książki na Podhalu, Spiszu i Orawie dokonują wielu odkryć o znaczeniu naukowym i zapowiadają ich obszerniejsze opracowanie. Ale nie tylko odkrycia i opublikowanie licznych nie znanych obiektów jest atrakcyjne dla historyka sztuki, lecz także uchwycenie wielu faktów, sygnalizujących tematy o nowej, nieznannej problematyce z zakresu tej dyscypliny. Niech za przykład posłuży choćby zagadnienie „Spiskiego XVIII-wiecznego warsztatu snycerskiego“, którego świetne dzieła wypełniają wnętrza zabytkowych kościołów Niedzicy, Frydmana, czy Łapsz Wyżnych — lub np. twórczość ludowego rzeźbiarza Wojciecha Kułacha z Gliczarowa, rzeźbiarza świątków i ołtarzy, twórcy dotąd niemal bezimiennego, o bogatym dorobku artystycznym

Pojawienie się na kartach książki tego rodzaju interesującego materiału naukowego, podanego w przystępnej formie, w starannym opisie, o charakterze literackim świadczy, iż wartość naukowa publikacji tkwi nie tylko w wiadomościach podanych w suchej i beznamiętnej formie, w zwięzłym i bezosobowym wypowiedzianiu zdań i twierdzeń, pozbawionych indywidualnego piętna autora. Tak napisana książka zbliża problematykę historii sztuki i opieki nad zabytkami do najszerszych rzesz czytelników lepiej, niż uczyni to niejasna, ściśle naukowa publikacja. I w tym leży duża wartość dydaktyczna, popularyzatorska i propagandowa książki.

Przeglądającemu materiał ilustracyjny i czytającemu niebanalne opisy skarbów sztuki ludowej — świątków — nasuwa się nieodparcie pytanie, dlaczego historia sztuki, jako dyscyplina naukowa wykazała tak małe zainteresowanie tą spuścizną artystyczną. Dla-

czego dopiero najnowsze prądy artystyczne doceniły plastyczny sens ludowego prymitywu i właściwej mu deformacji, gdy tymczasem na oczach żyjącego pokolenia przepadają i już przepadły całe szeregi zapoznanych, niepowtarzalnych skarbów sztuki.

Książka zdaje się wypełniać skutecznie lukę istniejącą w tej dziedzinie.

Ktoś twierdził, że rzecz jest zbyt długa i nuży czytelnika. Nie sądzę, aby tak było: forma opowiadania zbliża czytającego do wędrowników i budzi własne, miłe wspomnienia z terenowej włóczęgi. Faktem jest, iż książkę tak skonstruowano, że czytając ją nie odczuwa się powieściowego narastania akcji, ani treść nie osiąga punktu kulminacyjnego. Ale wynika to wyłącznie z kronikarskiego charakteru opisu, oddającego rzeczywisty przebieg wędrowniki. Rzecz jasna, że książka tego rozmiaru, tak pomyślana — wymaga jednak od czytelnika przygotowania, przynajmniej w postaci żywego osobistego zainteresowania terenem i jego skarbami kultury. Żałować raczej wypadnie, iż autorzy ominąć musieli niejedną miejscowość, o której z pewnością wiele powiedzieć by potrafili. A kto wie, czy do problematyki terenu nie przybyłoby jakiejś ważne ogniwo...

W tym co powyżej napisałem brak jest uwag krytycznych, jednakże i takie wypowiedzieć trzeba. Dotyczą one głównie strony wydawniczej książki. Praca wyposażona została niezwykle starannie w liczny i z głębokim namysłem wybrany materiał ilustracyjny. Dlatego z żalem stwierdzić trzeba, że obecnie, gdy strona wydawnicza tego rodzaju publikacji nareszcie zaczęła osiągać mniej więcej pożądany poziom — *Drogami Skalnej Ziemi* wydrukowano na takim papierze i taką techniką druku, która w znacznej mierze przekreśliła wartość ilustracji. Ich ilość w stosunku do potrzeb została znacznie umniejszona. Trzeba również podać, iż dobry układ graficzny książki zaprojektował prof. Maciej Makarewicz, którego nazwisko jako twórcy koncepcji graficznej jakoś nie zostało wymienione.

Książka jest dużym wkładem w wiedzę o historii i zabytkach Podhala. Nie byłoby od rzeczy, gdyby takie „wędrowniki“ odbyto również po innych dzielnicach Polski i abyśmy mogli o nich w podobnych książkach przeczytać.

Mówi Konstanty STECKI (jr), taternik i pisarz:

Leży przede mną jeden z egzemplarzy *Drogami Skalnej Ziemi*. Książka jest pokaźnych rozmiarów, ilustrowana zdjęciami Władysława Wernera i braci Zwolińskich. Praca na pierwszy rzut oka wzbudza zaufanie. Zaglądam do środka i tu od razu pierwsze rozczarowanie. Zdjęcia są złe. Co się stało? Przecież znam wiele z nich w oryginale. Doskonałe, kontrastowe w rzeczywistości odbitki wycierają z kart książki szarżyną utraconych światel i cieni.

Lecz powoli ukazują się i inne usterki. W spisie rzeczy podano pozycję „Literatura przedmiotu“. Gdyby Pieńkowska i Staich chcieli zadać sobie trud i podać literaturę dotyczącą Tatr, Podhala, Spisza i Orawy, to by musieli napisać drugą książkę tej przynajmniej objętości co *Drogami Skalnej Ziemi*. A może chodzi tylko o



(poniżej) Późnogotycki posążek Matki Boskiej, znaleziony w przydrożnej kapliczce w Międzyzyczernym.

Fot. W. Werner.



„ważniejszą literaturę przedmiotu“? Ktoś popełnił omyłkę. Albo autorzy, albo redakcja krakowskiego Wydawnictwa Literackiego.

Ale powróćmy jeszcze do sprawy zdjęć. Praca była drukowana przez Drukarnię Wydawniczą. Dlaczego nie przez Drukarnię Narodową? Jeżeli wydawane w Warszawie książki, jak np. *Ogrody Polskie* Ciołka wykonano w Drukarni Narodowej w Krakowie, to chyba krakowskie Wydawnictwo Literackie mogło powierzyć *Drogami Skalnej Ziemi* tej samej drukarni, choćby ze względu na doskonałe zdjęcia.

Tyle o formie książki. A treść?

Zadziwia jej różnorodność. Istotnie autorzy pokazali drogę do bogactw Podhala, Spisza i Orawy, przebytą przez historyka sztuki, turystę, przewodnika. Praca Pieńkowskiej i Staicha kipi wprost masą szczegółów. Dziwić się należy, że w ogóle ktoś zadał sobie tyle trudu i że potrafił taką masę informacji o Podtatrzu podać. Książka zainteresuje niewątpliwie i historyka, i geografa, i plastyka, i ludoznawcę, no i przede wszystkim turystę. Słusznie same Tatry potraktowano dosyć fragmentarycznie. Są one na ogół znane. Mniej znane są natomiast doliny, z których wyrastają. I między innymi na tym polega zasługa autorów, że zapoznali czytelnika z tymi terenami.

To był cel książki. Lecz przy okazji wykonano drobiazgową pracę inwentarycyjną wielu znanych i — co należy podkreślić — wielu nie znanych zabytków Podhala, Spisza i Orawy. I tu się kryje olbrzymia wartość naukowa pracy.

Miejmy nadzieję, że w przyszłych wydaniach zostaną poprawione techniczne i formalne usterki i wówczas czytelnik otrzyma pod każdym względem piękną, estetyczną i wartościową książkę, wprowadzającą go na skalną ziemię.

Mówi Marian GOTKIEWICZ, znawca historii Podtatrza

Nie jestem wprawdzie historykiem, lecz przebiegając w ciągu wielu lat dziedziny Podhala, Spisza i Orawy, starałem się jako krajoznawca poznać je wszechstronnie, więc także ich przeszłość dziejową. Niechże to więc będzie usprawiedliwieniem uwag, jakie mi się nasunęły przy lekturze książki Pieńkowskiej i Staicha *Drogami Skalnej Ziemi*.

W centralnym kręgu zainteresowań autorów znalazły się przede wszystkim zabytki sztuki i pomniki przyrody, stąd też nie mogli oni pominąć w swej książce tła historycznego, bez którego mogłaby się stać ona drobiazgowym katalogiem inwentarycyjnym, przeznaczonym dla szczupłego grona czytelników.

Nakreślić tło historyczne nie było łatwo, bo dzieje trzech sąsiadujących z sobą krain Podhala, Spisza i Orawy, przez długie wieki rozdzielonych granicą polsko-węgierską, toczyły się bardzo odmiennymi torami. Nie mogło to pozostać bez wpływu na rozwój twórczości artystycznej etnicznie i językowo polskiego ludu zamieszkującego te krainy. Stąd to słusznym był podział księgi na 3 części, poświęcone każdej z tych krain.

W części I odnoszącej się do Podhala przeważają opisy zbrojnych ruchów chłopskich, walk górali buntujących się przeciw pańszczyźnie. Prócz tego jednak przedstawiono — choć pokrótce — dzieje sprowadzenia Cystersów do Ludzimierza, a także omówiono przeszłość zamków w Szaflarach i Czorsztyńcu oraz szeregu wsi lokowanych na prawie niemieckim, głównie przez Kazimierza Wielkiego.

Szkoda jednak, że autorzy nie podkreślili pierwotnie polskiego charakteru tych osad, które noszą wprawdzie

często nazwy niemieckie od ich założycieli-zasadźców (Harklowa od Hartla, Sromowce od Schrama, Tylmanowa od Tiermanna), lecz ludność miały zawsze i od swych początków polską. Brak ten tylko częściowo jest skompensowany na str. 266—268, gdzie mowa jest o patriotycznej postawie ludności tych wiosek nie chcących przyjmować góralskich „kennkart“ podczas okupacji hitlerowskiej.

Przechodzę teraz do omówienia części drugiej. Podobną sytuację, jak na Podhalu, widzimy na przeciwnym brzegu Dunajca, gdzie poczynając od r. 1319 pojawia się szereg wiosek Zamagurza Spiskiego, powstałych w pierwszej połowie XIV w. i noszących zazwyczaj nazwy niemieckie: Frydman, Dursztyn, Kacwin (Katzwinkel), Niedzica (Nedecz), Falsztyn i Frankowa. Byłoby dobrze zaznaczyć w *Drogach Skalnej Ziemi*, że początki tych wsi przypadają na owe czasy, kiedy to Polska utraciła za Władysława Łokietka na rzecz Węgier Lubowlę, Gniazda i Podoliniec w dolinie Popradu a oprócz tego lesiste i bardzo słabo jeszcze wtedy zaludnione Zamagurze.

Należało też, moim zdaniem, podkreślić pierwotną polskość owych po niemiecku ponazywanych osad spiskich, na co już Potkański, Zachorowski, Czambel, Modelski, Semkowicz i inni badacze zwracali uwagę.

Można było też podkreślić ekspansywność strony węgierskiej, która w swym rozpędzie kolonizacyjnym potrafiła dotrzeć aż do rzeki Białki, a nawet, gdy ta zmieniła swe koryto, rzekę tę przekroczyć i w latach 1599—1625 zająć bezprawnie długi pas Nowotarszczyzny między Białką a potokiem Leśnicy zawarty i dalej w Tatry, aż po Morskie Oko sięgający. Na szczęście starosta Mikołaj Komorowski w r. 1625 teren ten zbrojnie dla Polski rewindykował. Było to tym bardziej po-

trzebne, że od zachodu wdarli się w pograniczną puszcę orawską Turzonowie, przesuując granicę polsko-węgierską na Babią Górę i niski wododział europejski między Czarnym Dunajcem a Piekelnikiem, wskutek czego Nowotarszczyzna stała się wąskim klinem pogranicznym, któremu groziło odcięcie od Polski.

Ostatecznie ustaliła się granica na Dunajcu i Białce, co z uwagi na to, że rzeki w górach stanowią naturalne arterie komunikacyjne, musiało ujemnie wpływać na rozwój gospodarczy obu brzegów doliny. Ta szkodliwie ukształtowana — podobnie jak na żegiestowskim odcinku Popradu — rzeczna granica przetrwała częściowo do roku 1920, jako przeżytek czasów feudalnych.

Na str. 356 *Drogami Skalnej Ziemi* czytamy o zastawie 13 miast spiskich w r. 1412 i o darennych próbach podejmowanych przez stronę węgierską, ażeby wykupić te miasta z rąk polskich, jednak autorzy nie zaznaczyli, że zastaw ten nie obejmował Zamagurza Spiskiego, które nieprzerwanie od początków wieku XIV dzieliło losy z resztą Górnych Węgier, raz po raz wstrząsanych wojnami religijnymi.

Fundatorami kamiennych kościołów w Niedzicy i Kacwinie, Frydmanie, w Łapszach Wyżnich i Łapskach Niżnich byli możnowładcy węgierscy, stąd odmienny charakter tych kościołów od tego, co spotykamy na Podhalu lub Orawie, odmiennie także wyposażenie ich wnętrza.

Nie bez znaczenia dla czytelnika byłoby również dowiedzieć się, jakie były dzieje reformacji na Zamagurzu. Jan Zapolya, wybrany królem węgierskim.

Ciąg dalszy na str. 23

Znaleziska w Rożnowie



W czasie prac badawczo-konserwatorskich w obrębie dawnej renesansowej twierdzy w Rożnowie (powiat nowosądecki) — przy robotach ziemnych prowadzonych pod kierownictwem technicznym Stanisława Hyża — wykopano na terenie parku kilka interesujących fragmentów kafli.

Najciekawszy z nich, znaleziony w 2/3 całości, przedstawia kartusz herbowy z orłem jagiellońskim, zwieńczony głową kobiecą. Zabytek ten stanowi charakterystyczny przykład polskiego renesansowego kafału ozdobnego z wieku XVI. Inne fragmenty, zapewne późniejsze, zdobne są dekoracją o motywach roślinnych o do-

brze zachowanych barwach polewy, wśród których przeważają kolory niebieskie, począwszy od jasnego błękitu aż po ciemny granat, żółte, zielone i białe. Polewa najpiękniejszego fragmentu z motywem heraldycznym niestety jest zniszczona, zapewne podczas pożaru. Wskazywałoby to na fakt, że nieznanymi, dawny budynek

pałacowy, najprawdopodobniej drewniany, uległ pożarowi. Znaleziono również w tym miejscu ułamki stopionego szkła i metalu — potwierdzałyby to przypuszczenie.

(MK)

Kopułę kaplicy w ambicie lubiąskiego kościoła pokrywają imponująco bogate freski.

Wszystkie zdjęcia autora



WIZYTA W LUBIAŻU

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Nie chciałem nadkładać kikudzie-sięciu kilometrów drogi, jadąc z Legnicy do Lubiąża przez Wołów, gdzie istnieje most na Odrze. Ktoś mnie zapewniał, że pod Lubiążem kursuje prom, ruszyłem więc najbliższą drogą przez Prochowice i nagle... stanęliśmy (ja i moja Jawa) jak wryci. Wyjechawszy z lasku natrafiliśmy na brzeg rzeki płynącej szeroko i leniwie. Promu, jak okiem sięgnąć, ani śladu. Kiedyś, owszem, istniał, ale przestał. Znalazł się jednak przewoźnik.

Za chwilę przemierzałem Odrę na

oklep, siedząc na motorze w łodzi, kołysząc się bardzo niesymetrycznie wśród czarnych i zimnych odmętów.

Tak więc dopiero wówczas, gdy stanąłem na stałym lądzie, mogłem w pełni podziwiać położenie dawnego klasztoru cystersów.

Rozłożony szeroko i wspaniale, jakże świetnie harmonizuje z równinnym, żyznym krajobrazem pól i leniwym, wspaniałym korytem rzeki. Było to w październiku 1955 r.

Nie będę tu powtarzał danych historycznych związanych z tym kompleksem zabytkowych budowli. Od-

należać je może każdy w przewodnikach, monografiach, inwentarzach i podręcznikach. Nie o to mi w tej chwili chodzi, kto i kiedy zakładał klasztor w Lubiążu, skąd przyszli zakonnicy i które z kolei klasztory stąd się wywiodły.

Chciałbym natomiast przedstawić tu pokrótce to, co widziałem w lubiąskim klasztorze jesienią 1955 roku, i obawiam się, że stan budowli jaki wówczas zastałem nie uległ do dnia dzisiejszego większym zmianom.

Kompleks poklasztornych zabudowań grupuje się po obu stronach

kościół tworząc od południa zamknięty czworobok, od północy wysuwając się dwoma skrzydłami. Część południową użytkował wtedy Dom Książki, część północną PGR czy też jakaś inna instancja związana ze sprawami rolniczymi (bodaj czy nie powiatowy skup zboża). Dom Książki ulokował w obszernych, haniebnie zdewastowanych salach, owoce nie przemyślanych przedsięwzięć wydawniczych i nie przemyślanych importów. Pod sklepieniami kipiącymi od iluzjonistycznych fresków zalegały piramidy paczek. Sąsiedowały tu



(z lewej) Łuszczące się i podziurawione kulami freski na stropie dawnej biblioteki klasztornej.

(z prawej) Spustoszone wnętrze kościoła w Lubiążu, posiadającego niegdyś europejską stawę.

(poniżej) Zabytkowe wnętrze dawnej biblioteki klasztornej służy dzisiaj jako skład makulatury.



(z lewej) Jeden z fragmentów dekoracji letniego re-
fektarza w Lubiążu.

(u dołu) Klasztor lubiąski
widziany znad Odry.

(u dołu z prawej) Fasada
kościół i fragment klaszto-
ru w Lubiążu.



zgodnie życiorysy Miczurina, literatura „produkcyjna” oraz dzieła autorów polskich i rosyjskich w przekładach na rozmaite języki świata. Ponad tą mysią i molową spizarnią koftowało się barokowe theatrum: szalone, uciekające w niebiosy architektury, subtelne stiuki i święci fruający na wicherze jak różnobarwne jesienne liście. Co okazała persona nosiła przy tym ślady symbolicznej egzekucji: białe cętki serii z karabinów maszynowych. Zacieki,

zerwane boazerie, zwalone balustrady dopełniały sumy wrażeń wyniesionych ze zdewastowanego wnętrza. Kierownik skarżył się, że koszt reparaacji dachów, oszklenia i najbardziej podstawowych remontów idzie w miliony i przerasta możliwości Domu Książki. Trudno się temu dziwić. Dziwić się raczej należy, że ów kolos nie został spożytkowany na inne, właściwsze cele. Czy doprawdy owe klasztorne koszary nadają się tylko na skład zboża i makulatury?

Ta grupa zniszczonych ligur — to wszystko co pozostało z wyposażenia słynnego niegdyś lubiąskiego kościoła.



Niestety, części północnej budynku nie obejrzałem, tak więc nie widziałem słynnej sali książęcej, jednej z najwspanialszych w Polsce kreacji baroku. Groźny kierownik w butach z cholewami oświadczył, że to tajemnica państwową i że nie wpuści. O tej tajemnicy państwowej mówiono mi później, że zalega tam zboże i że elewator przeprowadzono wybijając dziurę w ścianie czy sklepieniu.

Najbardziej przeraził mnie jednak wygląd wnętrza kościoła. Znałem to

wnętrze ze zdjęć: rozsadał je przepych barokowego wystroju: ołtarzy, rzeźb, obrazów (toć w Lubiążu pracował najwybitniejszy malarz śląskiego baroku, Michał Willmann). Wiemy, że Niemcy ewakuowali w nieznane miejsce słynne stałe. Obrazy Willmanna znajdują się, przynajmniej częściowo, we Wrocławiu. Ale co się stało z resztą? Gdzie znikły ołtarze, organy, ławy — wszystko, dosłownie wszystko?! W ponurej, zakurzonej, zlachmanionej pustce glucho dudnią kroki. W nawie bocznej kilkanaście połamanych, osmalonych figur barokowych — wszystko, co pozostało z dawnego bogactwa.

Ten bezcenny zabytek sztuki i historii przedstawia dziś obraz straszliwej dewastacji. O bezmyślności tzw. czynników terenowych niech świadczy fakt, że w ubiegłym roku przeznaczono już ten olbrzymi kompleks architektoniczny do rozbiórki w ramach akcji usuwania śladów zniszczeń wojennych. Ale o jaką wojnę tu chodzi? Zdaje się, że ani jeden pocisk nie uderzył w mury dawnego opactwa.

Oczywiście Lubiąż nie rozgruzowano. Oczywiście odpowiednie zarządzenie spoczęło wśród innych podobnych w panopticum urzędniczej tępoty. No dobrze, ale co dalej?

Opuszczałem Lubiąż z uczuciem gryzącej rozpacz. Inne, bogate w zabytki narody trzęsą się nad byle szczątkiem swej przeszłości. My, ubodzy krewni Florencji, Chartres czy Kolonii, pozwalamy lekkomyślnie naszemu zabytkom niszczyć dopóty, dopóki koszt ich ratunku nie przekroczy naszych skromnych możliwości finansowych.

A przecież Lubiąż nie jest jedyny. Co z Legnickim Polem, Henrykowem i dziesiątkami innych, wielkich, opuszczonych budowli? Nie rozgruzowano? Dobrze. A co dalej?

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Drogami skalnej ziemi

DOKOŃCZENIE

darował w r. 1528 Hieronimowi Łaskiemu żupaństwo spiskie z Kieżmarkiem i Niedzicą. Z rąk jego syna, Jana Łaskiego, przeszedł zamek niedzicki wraz z kluczem dunajckim w drodze sprzedaży w r. 1589 w posiadanie Jerzego Horvatha Paloczaya. Ten ostatni, gorliwy kalwin, zgodnie z zasadą „cuius regio eius religio” zmuszał lud poddany do innowierstwa. Wobec upadku Czerwonego Klasztoru i rozpierchnięcia się jego mnichów w r. 1565, prawdziwym azylem dla katolików zamagurskich stały się Hanuszowce i Łapsze Niżne, gdzie proboszczami byli Bożogrobcy-Miechowici.

Po takim wyjaśnieniu zapewne lepiej zrozumiemy, skąd w kościele niżniolapszańskim wziął się obraz ufundowany w r. 1674 przez ks. Marcina Grabieckiego (czy Grabińskiego?), Miechowite, reprodukowany i opisany na str. 390 i 392 omawianej przez nas książki.

Kasacja zakonu Bożogrobców na Spiszu nastąpiła w r. 1788 i odtąd już napływa coraz więcej księży, głównie narodowości słowackiej, lub posłowaczonych synów góralskich, lecz lud zamagurski pomimo rugowania jego mowy z kościoła pozostaje polski, taki sam jak w przeszłych stuleciach i jakim był podczas wizytacji prepozyta Sigraya w r. 1700, kiedy ten dostojnik kościelny stwierdzał w protokole powizytacyjnym polskość każdej niemal zamagurskiej wiośki i o całym dystrykcie dunajckim napisał: *In toto hoc districtu sunt omnes Poloni.*

Na Zamagurzu długo jeszcze trwały zamieszki i waśnie religijne.

W takich wioskach jak Nowa Biała lub Krempachy, gdzie kolatorami kościołów byli Horvath Stanschies de Gradecz, nieprzejednani wrogowie katolicyzmu, jeszcze w XVIII w. utrzymywała się obok katolików grupa protestantów, z czym może wiązałyby się

podanie, jakie przed laty opowiadał mi nasz znajomy z *Dróg Skalnej Ziemi* świątkarz, zdradzę jego nazwisko, Jan Pluciński: oto w sporze o kościół w Krempachach mieli ci zwyciężyć, którym pierwiej urodzi się dziecko płci męskiej. Chłopiec urodził się wcześniej katolikom, więc protestanci sprawę przegrali.

Specjalnego omówienia wymagałoby zagadnienie wołoskie szczególnie przy Górnej Orawie, gdzie wszystkie wsie polskie zostały w latach mniej więcej 1560—1650 założone na prawie wołoskim, choć miały ludność rdzennie polską napływającą z Żywiecczyny oraz z dóbr suskich, jordanowskich, oświęcimskich i cieszyńskich, jak o tym wiemy z prac Wład. Semkowicza i o czym informują autorzy „Skalnej Ziemi”.

Również i na Orawie toczyła się zacięta walka spóźnionej reakcji katolickiej z innowierczymi panami Zamku Orawskiego, na których usługach sta-

ła klika sołtysa Macieja Klinowskiego. Ostateczne zwycięstwo katolicyzmu zmanifestowało się w dziesiątkach rokokowych czy barokowych figur kamiennych, rozsianych przy ścieżkach Orawy, przydrożnych świątków tak pięknie opisanych przez Pieńkowską i Staicha. Mam jednak wątpliwości, czy te XVIII-wieczne figury, z których prototypowa św. Anna w Podwilku ma na postumencie wyrzeźbione słowa staropolskiej modlitwy, czy one istotnie są dziełami słowackich majstrów z Białego Potoku, jak to pierwszy przypuszczał Józef Pieniążek. Wątpliwość moja zrodziła się w ubiegłym roku przy figurze Przemienienia Pańskiego na Machayowej Roli w Jabloncu. Na piaszkowym postumencie widniała tam wyrzeźbiona data 1762, lecz z drugiej strony zwróconej ku Babiej Górze znaleźliśmy z „Brodaczem” — Andrzejem Haniaczykiem zatarty, lecz jeszcze czytelny napis: *Per Ioan. Bielopotocz. In An (no) 1840 R(enovata) Est.*

A więc ok. roku 1840 Jan Białopotocki nie tworzył, lecz odnawiał wiele starych figur orawskich.

Słyszymy je nieraz. Wystarczy w godzinach wieczornych pokręcić gałką radioodbiornika, aby po chwili natrafić na stację nadającą tak popularne dziś *Western songs*. Te proste piosenki rytmicznie śpiewane przy akompaniamencie gitary, to nie tylko modne „kowbojskie kawalki“, jak je niezbyt szczęśliwie nazywają niektórzy. Nie wszystkie skomponowali modni piosenkarze. Wiele z nich to bardzo charakterystyczny przejaw folkloru młodej cywilizacji Nowego Świata z jej najbardziej bohaterskiego okresu — dziewiętnastowiecznego podboju obszarów Dzikiego Zachodu. W piosenkach tych bowiem zawarła się na zawsze znaczna część historii ekspansji amerykańskiego pioniera.

Powstawały spontanicznie, jak spontaniczną i żywiołową była owa nowoczesna wędrówka ludów z gęsto zamieszkałych wybrzeży Atlantyku, poprzez prerię, dzikie bezwodne płaskowyże i łańcuchy górskie ku słonecznej, złotodajnej Kalifornii. Tym właśnie pieśniom zrodzonym w czasie wędrówki i pod-

sząc trupa swego wodza, lecz w potyczce zginęło również trzech młodych osadników.

Były to pieśni śpiewane na kozłach masywnych, krytych płótnem wozów, lub półgłosem nucone wieczorami w ufortyfikowanych obozowiskach. Jedne z pierwszych *Western songs*.

Mimo krwawych ofiar sznury karawan bezustannie posuwały się na zachód. Jak gdyby po deszczu wyrastały hodowlane rancha. Pojawia się również nowy typ człowieka Zachodu — kowboj. Na farmach południowego zachodu znalazły pracę setki poszukiwaczy przygód zarówno z Ameryki, jak i z odległej Europy. Kowboj, który dostarczył tematu setkom powieściopisarzy i scenarzystów filmowych, układał własne piosenki. Sporo ich powstało zwłaszcza w czasie wielkich przegonów bydła z ranch teksaskich na północ do rzeźni w Montanie. Nie było to łatwe zadanie. Stado wymagało bezustannej czujnej opieki. Spłoszyć je mogło byle głupstwo, ot, choćby zwisający z gałęzi skrawek

nitki, zrozpaczony i zniechęcony, wędrował nasz kowboj na południe zając się słowami piosenki:

*Oh I am a Texas cowboy
Far away from home
If I ever get back to Texas
I never more will roam,
Montana is too cold for me
And the winters are too long;
Before the round-ups do begin
Our money is all gone.*

Lecz oto nadchodzi rok 1849 a z nim kalifornijska gorączka złota. Ruszają wszyscy. Spokojni urzędnicy z wielkich miast wschodniego wybrzeża i odziani z tandetną elegancją szulerzy z szynków w Montanie, Idaho i Oregonie. Pracowici farmerzy i długonodzy teksascy kowboje zakurzeni od czubków spiczastych butów aż po czarne sombrera (tak nam ich przedstawiają powieściopisarze). Na brzegach kalifornijskich rzek i strumieni powstają hałaśliwe obozowiska górników — ludzi zdecydowanych na wszystko. Atmosferę tego środowiska oddają nam uro-

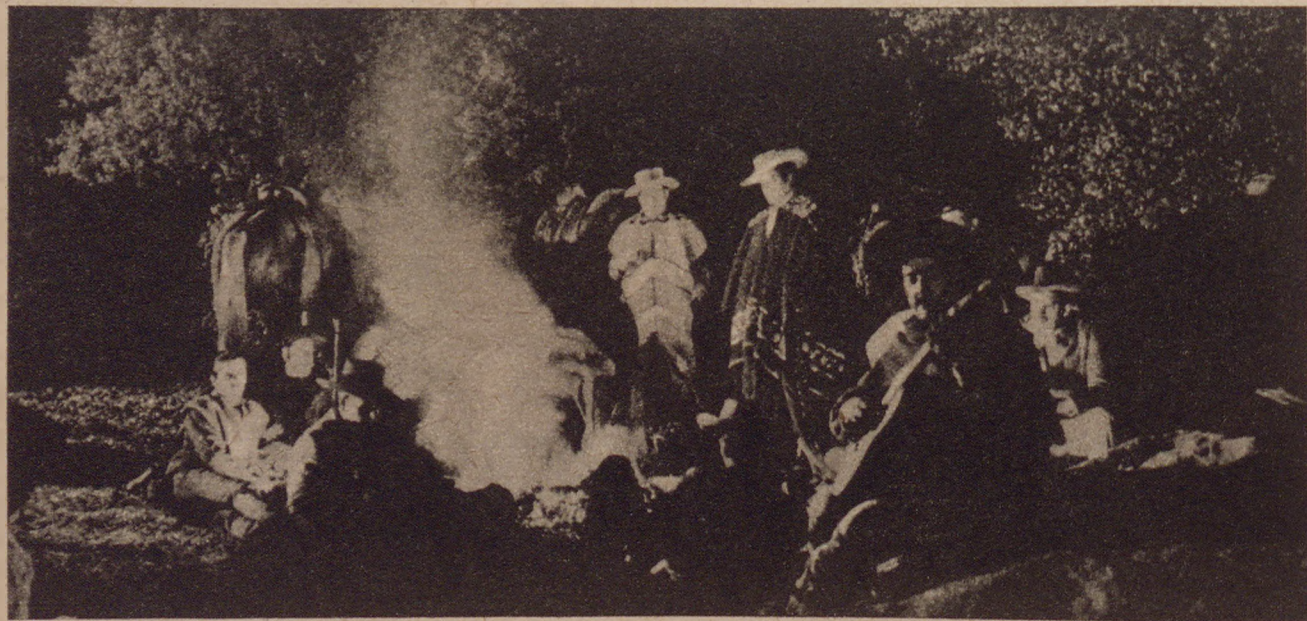
samotną karetkę pocztową czyhają bandy doskonale zorganizowanych „desperados“ a także zbrojne oddziały Indian, bynajmniej nie rezygnujące z oporu wobec białych intruzów. Niejeden też poczytylion ginie wówczas na kozłach swej karetki. G. Hopper wspomina o jednym z takich bohaterów. Billu Petersie, zabitym w nierównej walce stoczonej samotnie przeciwko oddziałowi Komanczów. Nim zginął — jak głosi naiwny epos ludowy — *wystrzelał setki napastników*.

*In eighteen hundred and sixty-one
The American Railroad was begun...*

— to na widownię wkracza nowy czynnik. Z wybrzeży obu oceanów zaczyna sunąć ku sercu kontynentu węże stalowych szyn kolejowych. Mila po mili posuwają się naprzód obozowiska budowniczych kolei. Wkrótce dochodzi do starć między dotychczasowymi gospodarzami prerii — kowbojami, a robotnikami kolejowymi. Niebawem zaś zarówno jedni, jak i drudzy zostają olśnieni krótkotrwałą sławą nowych bohaterów ludowych — braci Franka i Jesse Jamesów, a pieśń *Jesse James* brzmi zarówno na kowbojskich ranchach, jak i w robotniczych obozach. Ale bo też swoista sława Jamesów sięgała rzeczywiście daleko. Pamiętamy jak to w *Przemiętło z wiatrem* zbierający się u Retta i Scarlet, w dalekiej Atlantycie, aferzyści raz po raz w rozmowach wymieniają nazwisko „przedsiębiorczych“ braci. Obaj ci ludzie napadali na pędzące przez prerię pociągi, ciągnięte przez śmieśzane, lśniące mosiądzem samowarki, zaopatrzone w ogromny alarmowy dzwon. Pociągi te złożyńca oczywiście dopędzał na koniu (jak to widzieliśmy na kolorowym filmie *Jesse James*) i skakał z siodła na platformę wagonu. „Ręce do góry“ — i pod groźbą dwu staroświeckich Coltów pasażerowie wyzbywają się swych portfeli. Ale jako się rzekło sława Jamesów nie trwała długo. Pewnego dnia Jesse James ginie skrytobójczo zastrzelony przez członka swojej bandy — Forda. I oto tak brzmi jego epitafium w piosence: *This song was made by Billy Gashade As soon as the news did arrive; He said as there was no man with the law in his hand Who could take Jesse James when alive!*

Jeżeli nawet w wypadku Jesse Jamesa istotnie nie znalazł się taki śmiałek, który by odważył się ująć żywcem tego groźnego bandytę, to w każdym razie znaleźli się na południowym zachodzie ludzie, którzy zdołali położyć ostateczny kres romantycznej (z perspektywy drugiej połowy XX wieku), lecz w gruncie rzeczy okrutnej i destruktywnej „działalności“ rewolwerowców. Byli nimi teksascy Rangerzy. Ci strażnicy pogranicza ścigali z całą bezwzględnością bandy bydłokradów, opryszków trudniących się rozbojem na odludnych szlakach, a także różnego rodzaju niebezpiecznych maruderów bezustannie przenikających na północ z ogarniętych rewolucją nadgranicznych prowincji meksykańskich. Takim Rangerem jest właśnie David Law, bohater znanej polskiemu czytelnikowi powieści Rexa Beach'a *Gwiazda Samotna*, wydanej u nas przed wojną. Do najpopularniejszych piosenek rangerskich należy — zdaniem Hoppera — pieśń pt. *Umierający Ranger*. Opowiada ona jak grzebią zmarłego z dala od rodzinnego Teksasu Rangera towarzysze.

*With his saddle for his pillow
And his gun upon his breast.*



boju Guilan Hopper poświęca artykuł na łamach angielskiego tygodnika *Eveningbody's*.

* * *

I'll sing you a song, though it may be a sad one... — zaczyna swą smutną pieśń woźnica *szkunera prerii*, by następnie opowiedzieć, jak karawanę osadników z Missouri zaatakował w Teksasie oddział Siuxów. Zawrzała walka. Napastnicy umknęli wpradzie, uno-

plótka. Nocą na postojach konny wartownik okrążał stada nucąc monotonna melodię. I tak powstała „kołysanka z Teksasu“.

Ale wreszcie przegon się kończył. Konwój bydła przybywał na miejsce. Kowboje przywykli do gorącego słońca Teksasu marzli w mroźnej Montanie. Zarobione pieniądze wędrowały w krótkim czasie do kieszeni szulerów z miejscowych „saloonów“. Splukany do

cze, choć nieraz przepojone wstrząsającym tragizmem nowele Bret Harte'a. Rosną szybko nietrwale fortuny a równocześnie mnożą się chwilowe znakomitości świata przestępczego. Znako- mitości te — jak to często bywa — sławi pieśń ludowa.

Nowo powstałe centra górnicze utrzymują z trudem łączność z resztą cywilizowanego świata za pośrednictwem poczty konnej. Na pędzącej przez prerię

Pieśni Złotego Zachodu rozeszły się po całym kontynencie amerykańskim. Zarówno pod kołem podbiegunowym, jak i w głębi tropikalnych puszczy, w obozach budowniczych kolei, fabryk, zapór wodnych i lotnisk — wszędzie dziś brzmią melodie *Cowboy Dream*, *The Chislow Trail* i *Dying Ranger*. W czasie wojny przy ich dźwiękach czołgi Pattona wkraczały w głąb Niemiec. One też brzmiały na plażach Okinawy.

Oczywiście Guillan Hopper omawia w swym artykule tylko część amerykańskiego folkloru, łączącą się z pewnymi obszarami tego kraju i specyficznymi

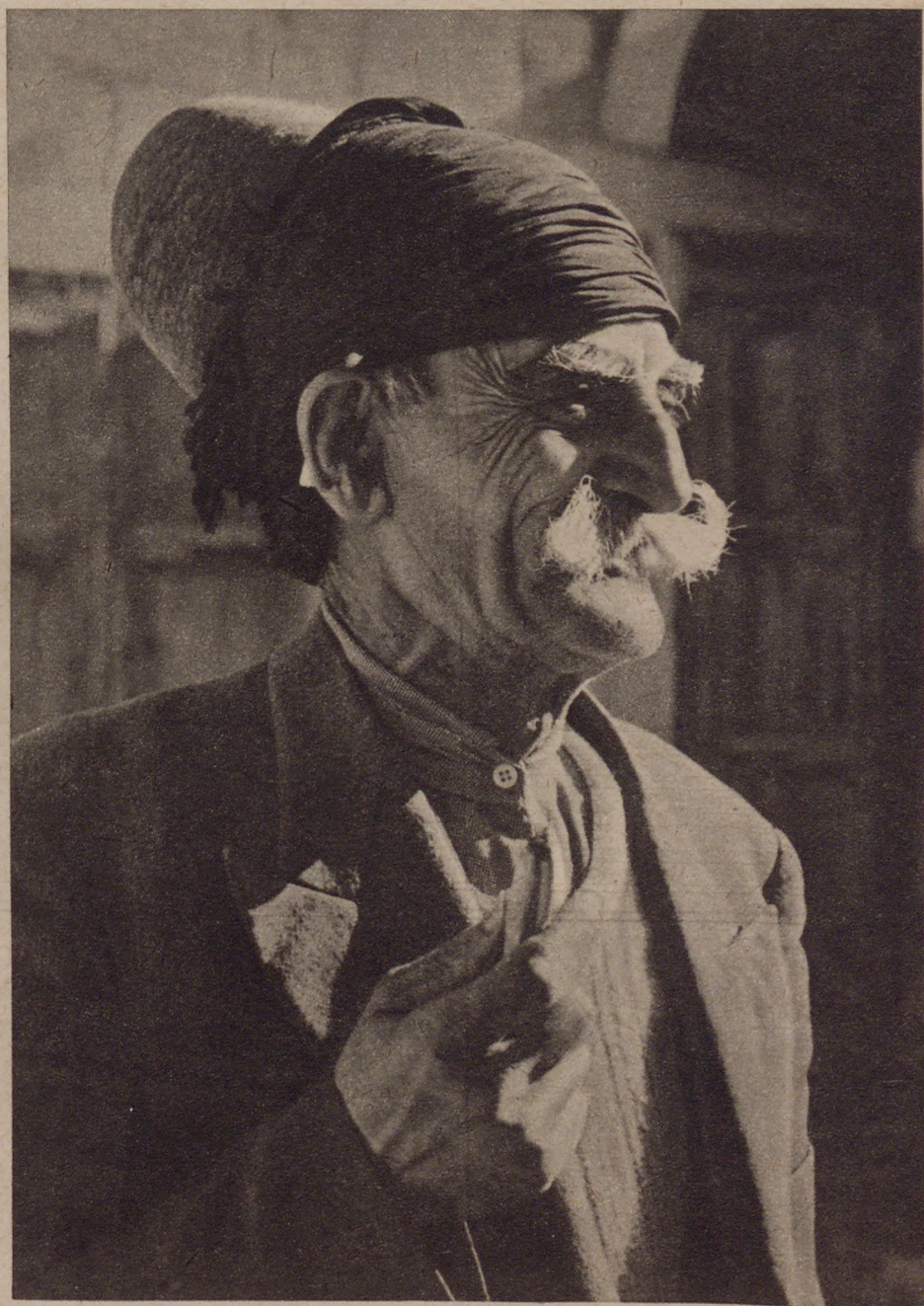
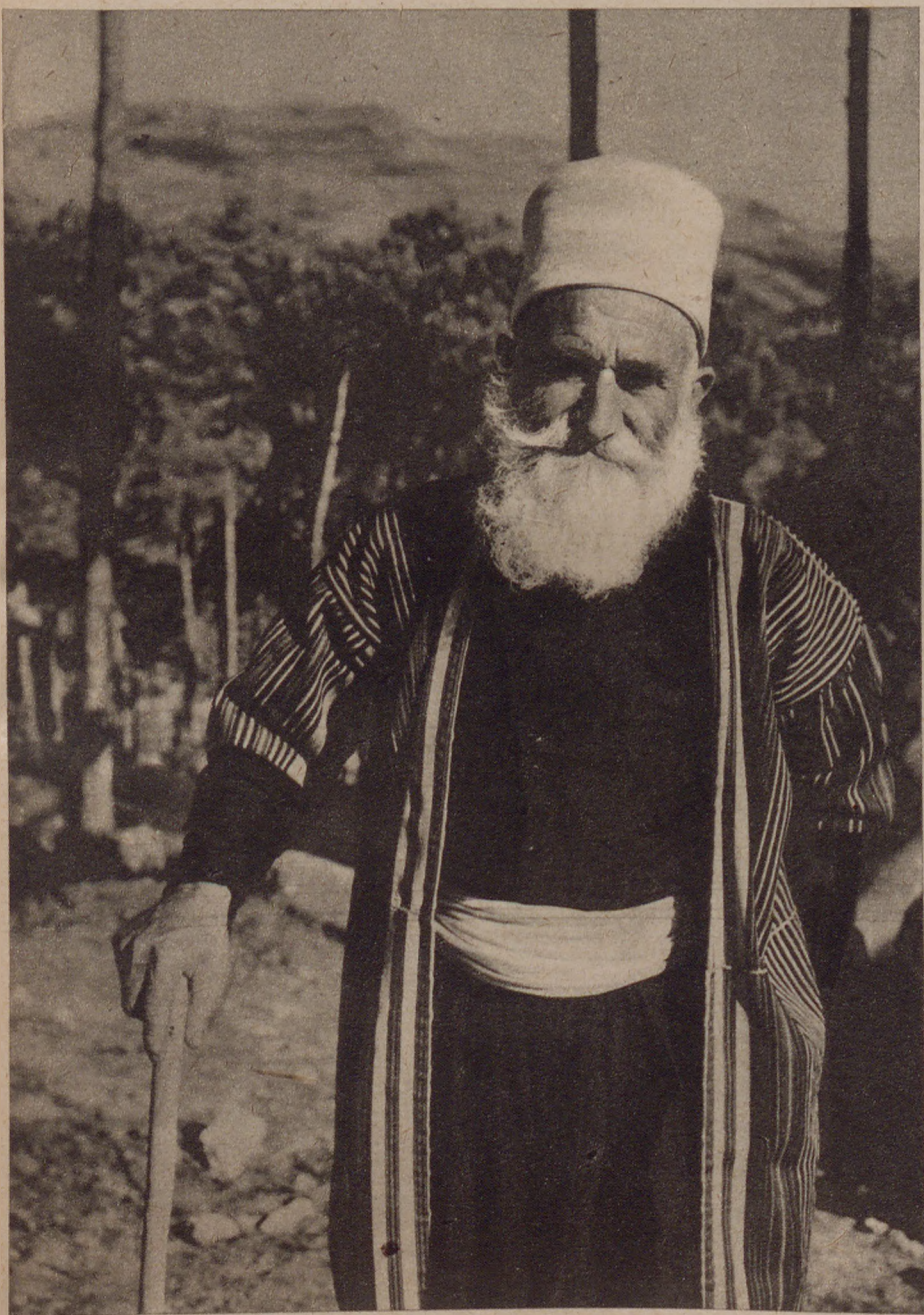
warunkami, w jakich ten folklor powstał. Niemniej, jest to chyba ta część folkloru Amerykanów, która — obok jazzu — najbardziej rozpowszechniła się za granicą. I dziś, jak np. koloryt Wysp Brytyjskich to kraciaste szkockie tartany, Włoch to neapolitański Wezuwiusz i śpiewający wenecki gondolier, a Hiszpanii — walki byków, tak o kolorycie Stanów Zjednoczonych stanowi przede wszystkim zbrojny w laso i Colty kowboj. Oczywiście w pojęciu mało zorientowanych w specyfice tych narodów cudzoziemców. Tylko że dziś te powierzchowne cechy folkloru amery-

kańskiego rozpowszechniają się na kuli ziemskiej o wiele szybciej i silniej. Dlaczego? Być może dlatego, że tradycje osadników amerykańskiego zachodu powstawały stosunkowo późno. W trakcie tworzenia się ich i bezpośrednio potem nastąpił już gwałtowny rozwój nowoczesnych wynalazków komercyjnej cywilizacji, takich jak wielkie ilustrowane czasopisma, radio, film i telewizja. Nadeszła epoka, w której wszystko, co war- te było reklamy z handlowego punktu widzenia, rozreklamowano na olbrzymią skalę. Trudno się więc dziwić, że w popularyzację barwnego folkloru i histo-

rii Dzikiego Zachodu wkradło się tyle tandety i zniekształceń. Skoro spróbujemy zdać sobie z tego sprawę, przestaną nas chyba dziwić kowbojskie Colty, ostrogi, sombrero i ciągle wspomnianie tradycji pionierskich dni, tak jak nie dziwi nas popularność folkloru ojczyzny Rob Roya w społeczeństwie Wysp Brytyjskich, a w Polsce zamiłowanie do janosikowych ciupag z Podhala.

I kiedy dziś stara piosenka amerykańskich pionierów podbija na falach eteru świat, warto wspomnieć jej twórców kręcąc galką radiodbiornika.

(L. Z.)



GOŚĆ Z LIBANU

Niedawno odwiedził naszą redakcję p. Sami Karkabi, kierownik urzędu do spraw turystyki w Bejrucie. Dowiedzieliśmy się od niego, iż w Libanie nie ma dotychczas periodyku o tematyce krajoznawczej czy turystycznej, są jednak pewne wydawnictwa albumowe. Krajoznawcy libańscy interesują się głównie strojami ludowymi, popularne są także odkrywcze badania jaskiń. Amatorów-speleologów zrzęsa bejrucki Spe-

leo-Klub, którego przewodniczącym jest również p. Karkabi. Wręczył on krakowskim grotolazom na uroczystym zebraniu legitymacje honorowych członków klubu libańskiego.

Reprodukowane powyżej zdjęcia, przedstawiające najtypowsze w Libanie męskie stroje ludowe — „katolicki” i „muzulmański” — otrzymaliśmy od p. Karkabi wraz z obietnicą przesłania ZIEMI albumu strojów ludowych.



DAWNE POCZTY POLSKIE



„Mapka połączeń pocztowych na terenie Królestwa Kongresowego w roku 1820, załączona do „Przewodnika dla podróżujących po Polsce”.

PRZEWODNIK DLA PODRÓŻUJĄCYCH PO POLSCE

Z smutkiem uważać przychodzi, iż Polska tyle wstawiona w Historii dawnych i naszych czasów, Polska niegdyś przedmurze i szpiclerz Europy, a niedawno poboiowiśko zapasów wszystkich Europejskich Ludów — Polska, której istnienie utrzymywało tyle wieków szalę równowagi i pokoju oświeconych Narodów, której Mieszkańcy miłością własnej Ziemi i sławy, walecznością w boju, wiernością w przymierzach, umiarkowaniem w szczęściu, niezgiętością w nieszczęściu, tak zaszczytnie dągli się poznać nayodleglejszym Swia-

ta stronom. Polska mówię, między wszystkimi Kraiami Europy tak mało obudza ciekawości w cudzoziemcach ku poznaniu Jey, we względzie Jeograficznych wiadomości, iż w wydanych tego rodzaju opisaniach, prawie za opuszczoną i zapomnianą, uważać ją można. Tym sążnistym wstępem rozpoczyna swój „Przewodnik” autor ukrywający się pod inicjałami IHK. Po obszernych stosunkowo opisach ważniejszych miejscowości Królestwa Kongresowego i Rzeczypospolitej Krakowskiej autor daje szereg uwag ogólnych, dotyczą-

cych mieszkańców i instytucji opisywanych przezeń krajów. Że zaś cała publikacja przeznaczona była przede wszystkim dla przybywających do Polski obcokrajowców, autor poświęca sporo miejsca pocztom, jako instytucji, ułatwiającej przybyszowi poruszanie się po kraju. Podobnie jak i w poprzednich rozdziałach, stara się przedstawić wszystko w jak najlepszym świetle.

POCZTY

Urządzenie najdogodniejsze poczt w

Królestwie Polskim, do takiej teraz doprowadzone jest doskonałości, iż w tym względzie nic więcej żądać już nie można. Ludzie dobrani i użyci na Postylionów są zręczni, trzeźwi, przezorni i wierni. Konie po większej części ukraińskie i ruskie, miernej wielkości, lecz mocne, wytrwale i skore bywają.

Podróżujący będąc śpiesznie na stacjach expediowanym, i również z jednej na drugą przewożonym, nie doznaje żadnej zgola zwłoki; a nawet i tę ma jeszcze korzyść, że nigdy (choć Poczty bywają podwójne) postylionowie nie zatrzymują się tak jak w Niemczech dla dania koniom wypoczynku, lecz jednym ciągiem zawsze z miejsca na miejsce dowożą.

Dylizanse przebiegające regularnie wszystkie znaczniejsze trakty w Królestwie, sporządzone niedawno zostały na wzór francuzkich. Są to wielkie bardzo karety, o ośmiu mocnych resorach z dobremi portierami, safianem wybite, mające wygodne wewnątrz siedzenia dla Pasażerów, których do dwunastu miejscić może. Idą ciągle we dnie i w nocy, w Miastach zaś większych, a szczególnie tych gdzie są Dyrekcyje poczt, jako to: w Kaliszu, Płocku i Lublinie, Zamościu, itp. zatrzymują się po kilka godzin.

DYREKCYE POCZT

Wszyscy Urzędnicy Pocztowi, nie tylko że starają się z jak największą grzecznością wszelką czynić podróżującym dogodność; ale nadto dostrzegają ściśle najmniejszych uchybień w podwładnych swoich, i bezzwłocznie surową na tych wymierzają sprawiedliwość, którzy by najmniejsze ściągęli na siebie zażalenie.

Na każdej Stacyi znajduje się Księga sznurowa, numerami i pieczęcią przez Dyrekcyją Generalną oznaczona, której każden podróżujący, co by w jakimkolwiek bądź względzie czuł się obrażonym, albo jaką miał sobie wyrządzoną niestuszną, ma prawo zażądać dla zapisania w niej swojego zażalenia, które śpiesznie ściąga na siebie Sąd i słuszne ukaranie.

TAXY I URZĄDZENIA POCZTOWE

Jadąc extrapocztą własnym pojazdem, płaci się za milę od jednego konia Zł. pol. 2. Kuryer płaci od konia jednego za milę Zł. pol. 3. Każdemu Postylionowi płaci się za milę gr. 24. co się nazywa pospolicie trinkgeld czyli na piwo.

Osoba chcąca jechać Dylizansem nie biorąc nic z sobą płaci tylko Zł. pol. 1 za milę. Gdy zaś rzeczy jej wynoszą funtów 50, na ten czas płaci Zł. pol. 1, gr. 15.

Szefeta kosztuje za jedną milę Zł. pol. 2, gr. 15.

Jadąc bryczką pocztową płaci się od niej Zp. 1. na pierwszej stacyi dalej zaś tylko gr. 15, lecz to nie za milę, ale za całą stację. Za nasmarowanie pojazdu płaci się w Warszawie Zp. 1, na innych zaś stacjach gr. 15.

Co się tycze ilości koni jaka zaprzęganą być powinna w miarę wielkości pojazdów, i liczby Osób w nich się znajdujących Urządzenia Poczt są następujące:

Do bryczki pocztowej, lub innej podobnej, w której się znajduje jedna lub dwie Osób, powinno się zaprzęgać dwa konie. Jeżeli zaś w niej osób trzy, na ten czas zaprzęga się koni trzy.

Do bryczki krytej, w której jest jedna lub dwie Osoby zaprzęga się trzy konie; gdy zaś trzy osoby w niej się znajdują, natenczas zaprzęgają koni cztery.

Do kolaski lub koczki półkrytego na czterech resorach z dwiema lub trzema osobami, zaprzęga się koni cztery, z czterema zaś koni pięć.

Do karety podwójnej z dwiema lub trzema osobami, koni cztery, a gdy też osób cztery mieści, na ten czas zaprzęgają koni pięć.

Do karet Berlińskich, Landarów, i wszelkich karet poczwórnych w których dwie, trzy lub też cztery mieszczą się osoby koni sześć.

Im więcej zaś jest osób, tym więcej w miarę onych koni się zaprzęga.

Poczta warszawska będąca stacją Królewską, nadbiera tam i nazad za jedną miłą więcej.

Furman najęty w drogę jaką, powinien również jak w Prusach, na ca-

łą podróż swoją uzyskać w najpierwszej Dyrekcyi pocztowej na piśmie pozwolenie, za opłaceniem postanowionego na ten koniec podatku po 8 gr: za milę od konia jednego. Od tej zaś opłaty wyłączeni są furmani wożący towary kupieckie, i różne inne ciężary, jako też ci wszyscy co własnymi podróżują końmi.

Każden ktokolwiek nie życzy sobie odbywać podróży pocztą, znajdzie wielu w całym Kraju Furmanów, a pomiędzy tymi dosyć Żydów, którzy w odległości mil 20, a nawet trzydziestu i więcej taniej od innych się wynajmują. Ciż na dzień ujeżdżają jednemi końmi dziesięć do dwunastu mil, a gdy na miejsce przywożą zawsze prawie znajdują kogoś co nimi na powrót wraca, za pomiernem znowu opłaceniem, które im koszta podróży wynagradza. Również i Osoba podróżująca podobne okazje natrafia: któremi małym kosztem dalszą jeżeli chce drogę odbywać

może. Tego rodzaju ludzie są już doświadczeni i dobrze znani ze swej poczciwości, można im więc powierzać do przewożenia z jednych miejsc na drugie, chociażby i odległych, sumy znaczne i kosztowne rzeczy. Takim tedy sposobem przebywać można z największym bezpieczeństwem i nową codziennie przyjemnością, żyzne Kraju Polskiego prowincje.

Wahającego się w dalszym ciągu cudzoziemca winien ostatecznie zachęcić do zwiedzenia Polski krótki, ale za to utrzymany (już wówczas) w tonie stanowczego optymizmu rozdział o naszych drogach:

Wszystkie te dogodności w dwójnasób jeszcze powiększone będą, skoro nowe brukowane drogi, które się już ze wszystkich stron z czynną i gorliwą starannością Rządu wznoszą ukończonemi zostaną. Na ten czas nie tylko podróżujący doznawać będzie wygody i przyjemności, ale nadto Kraj

stąd mieć będzie niewocenione korzyści, równie dla wewnętrznego jako i zagranicznego z sobą handlu.

Trakt, który się zaczyna w Uściługu, miasteczku leżącym na granicy południowej Królestwa, idąc przez Lublin, Warszawę, i zwracając się potem ku Poznaniowi, ułatwiać będzie z jednej strony wywożenie produktów z Rosyi południowej, z drugiej zaś wprowadzenie tam towarów zagranicznych.

Inny znowu trakt idący z Krakowa przez Warszawę, weźmie swój kierunek ku północnej Rosyi.

W systemie traktów pocztowych orientuje załączona do Przewodnika mapa, którą obok reproduujemy.

¹ Przewodnik dla podróżujących w Polsce, w Warszawie, w Drukarni N. Grücksberga, r. 1821.



Na przepzęgu. Rysunek Henryka Pillatti'ego.

O wskrzeszenie krajoznawstwa w szkole

MARIAN GOTKIEWICZ

W dniu 24 marca br. odbył się zjazd opiekunów kół krajoznawczych młodzieży szkolnej okręgu krakowskiego, na którym dr Maria Dobrowolska i autor niniejszych uwag wygłosili referaty poświęcone kierunkom i metodom pracy na terenie kół. Po referatach wywiązała się ożywiona dyskusja, która przyczyniła

się do ustalenia następujących wniosków:

1. Jednym z głównych celów pracy w kołach krajoznawczych powinno być poznanie własnego regionu, ew. także jednego z dalszych regionów Polski, do którego koło odbędzie wycieczkę.

2. Każda wycieczka powinna być

należyte przygotowana pod względem naukowym i technicznym.

3. Należy dążyć do tego, aby poszczególne koła podejmowały próby samodzielnego opracowania pewnych zagadnień, monografii miejscowości lub nawet większych jednostek administracyjnych, bądź też fizycznych czy gospodarczych.

Takie poczynania mogą być podejmowane zespołowo. Przyniosą one młodzieży znaczną korzyść, gdyż praca jej opierać się będzie na bezpośredniej obserwacji środowiska, z uwzględnieniem metody pogładowej. Ponadto wiążąc młodzież uczuciowo z tym środowiskiem, działał-

ność ta będzie miała doniosłe znaczenie wychowawcze.

W niektórych wypadkach działalność młodych krajoznawców może nawet przyczynić się do wzbogacenia wiedzy naukowej w cenne wartości, na dowód czego moglibyśmy przytoczyć wypowiedzi całego szeregu naszych uczonych, którzy jeszcze w okresie przedwojennym układali dla kół krajoznawczych różne ankiety i kwestionariusze, zaopatrzone w instrukcje, jak należy zbierać potrzebne materiały. Kwestionariusze dotyczyły zagadnień językowych (rozemieszczenie pewnych wyrazów gwarowych, nazw topograficznych), etnograficznych, archeologicznych, historycznych, przyrodniczych, geologicznych, gospodarczych, inwentaryzacji i ochrony zabytków sztuki, pomników przyrody żywej i martwej etc. Cenniejsze wyniki takich opracowań publikowano na łamach *Orlego Lotu* redagowanego przez prof. L. Węgrzynowicza i spotykały się one nieraz z bardzo pochlebnią oceną przedstawicieli naszej nauki. Wzbogacały one również zbiory muzeów regionalnych.

Pracę taką prowadziły koła pod

kierunkiem swoich opiekunów nie tylko w ciągu roku szkolnego, lecz również na letnich obozach wakacyjnych. Przdowała oczywiście młodzież szkół średnich, ale zdarzały się także kółka grupujące dzieci z klas V—VII, które mogły pochwalić się interesującymi monografiami swych miejscowości oraz innymi ciekawymi osiągnięciami.

Niestety, w r. 1949 przestał wychodzić *Orli Lot* i rozwiązana została komisja opiekunów szkolnych kół krajoznawczych. Krakowski okręg szkolny był bodajże jedynym okręgiem w Polsce, gdzie jeszcze w tym krytycznym czasie działał jednak Międzyskolny Ośrodek Kół Krajoznawczych, prowadzony przez prof. dra Józefa Staśkę. Ruchem krajoznawczym w szkołach zawodowych opiekowała się wspólnie z mgrem Opiałem prof. Zofia Domaniewska. Ale całe to krajoznawstwo nie miało jednak takiego poparcia ze strony władz szkolnych, na jakie by zasługiwało. Niektórzy identyfikowali je z turystyką, zubożając przez to jego treść ideową. Prof. Staśko prowadząc prace w trudnych warunkach tego okresu

opierał się z zapałem, lecz nie zawsze z powodzeniem wyraźnym tendencjom spłylenia ruchu krajoznawczego do poziomu źle pojętej „turystyki”, polegającej na urządzaniu nieprzemysłanych masowych wycieczek, na których zazwyczaj nie zwracało się uwagi ani na piękno krajobrazu i mijanych zabytków, ani na ich ochronę. Takie wycieczki przynosiły czasem więcej szkody niż pożytku.

Krajoznawstwo szkolne w Polsce, jeśli tu i ówdzie jeszcze dyszało, nawiązało się jedynie na zwiedzanie obiektów gospodarczych i przez tę jednostronność straciło wiele na atrakcyjności. Zwiedzano PGR-y, spółdzielnie produkcyjne, POM-y, trudniej już było pokazać młodzieży kamieniołom lub jakąś fabryczkę, bo na to potrzebne było specjalne zezwolenie, wymagające długich zachodów. W wielu wypadkach nauczyciel bał się prowadzić młodzież do katedry na Wawel lub do jakiegoś innego gotyckiego czy renesansowego kościoła, celem omówienia charakterystycznych cech danego stylu, bo nie chciał być posądzony o wszczepianie w swych wychowanków... „kultu de-

wocjonalnego”. Więc młodzież nie tylko nie umiała odróżnić gotyku od renesansu lecz miała zasadnicze i kompromitujące braki z historii Polski, z historii ojczystego miasta czy wioski rodzinnej.

Obecnie władze szkolne, ustosunkowujące się do pracy krajoznawczej znacznie życzliwiej, poprą zapewne postulat wskrzeszenia dawnej Komisji Kół Krajoznawczych, jako organu doradczego czuwającego nad kierunkiem młodzieżowego ruchu krajoznawczego, opracowującego programy działalności kół, nawiązującego kontakty z przedstawicielami zainteresowanych z dziedzin nauki. Otwiera się tu także możliwość zapoczątkowanej zresztą już współpracy z PTTK, gdzie również zwyciężają zwolennicy turystyki racjonalnej. Praca Komisji Kół Krajoznawczych powinna objąć całą Polskę, stąd wyłania się konieczność wskrzeszenia *Orlego Lotu*, który by wzorem lat ubiegłych stał się łącznikiem dla całej młodzieży szkolnej w kołach krajoznawczych.

Marian Gotkiewicz



Żółwie na Pomorzu

W artykule pt. *Żółwie w Polsce* („Ziemia” nr 1/56) — pisze przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Turystyki w Szczecinie, p. Czesław Piskorski — nie wspomina się zupełnie o występowaniu żółwia błotnego w powiecie goleniowskim, w woj. szczecińskim. Według informacji miejscowych przyrodników, żółwie spotyka się na równinach nad Gowlenicą w okolicy Babigoszczy (14 km na ptn. od Goleniowa).

Z DAWNYCH KRONIK
I INNYCH ZABYTEKÓW
PIŚMIENICTWA

PRASA XIX W. O KOLEJACH W POLSCE

*Leci życie, czas potraja,
Grody, rzeki, morza spaja;
Zbliża się kres ku kresowi.
Łączą ludy, wiążą kraje.
Biegun bratu biegunowi
Sąsiednią rękę podaje*

tymi słowy wital powstanie dróg żelaznych w Polsce poeta, F. Morawski. Sięgnijmy do dziewiętnastowiecznej pu-

blicystyki i przeczytajmy co pisze o kolejach ówczesny dziennikarz:

„Świst lokomotywy rozlegający się wśród pól i lasów, jest jakby hasłem cywilizacji i postępu; gdzie on dosięga, jakby czarodziejską siłą zmienia się postać kraju; powstają fabryki i zakłady, przemysł zakwita i dobrobyt się rodzi. Mnożąca się ciągle liczba tego rodzaju

komunikacji we wszystkich krajach oświeconych, jest najlepszym dowodem ich użyteczności, o której zresztą dziś nikt już nawet nie wątpi”¹.

Powstanie kolei warszawsko-wiedeńskiej zawdzięczamy Henrykowi Łubińskiemu, b. wice-prezesowi banku polskiego, kierownikowi górnictwa. Realizatorem był Piotr Steinkeller. Wcześ-

niejsza od tej była kolej górnoląska z Wrocławia do Olawy, otwarta w roku 1842. Otwieranie linii warszawsko-wiedeńskiej następowało stopniowo:

„W miarę postępu robót, otwierano częściowo drogę w roku 1845 z Warszawy do Grodziska, Skierniewic, Łowicza i Rogowa; w roku 1846 do Piotrkowa; w roku 1847 do Częstochowy i Żąbkowic, a dnia 1 kwietnia 1848 r. cała linia z Warszawy do granicy do użytku publicznego otworzona i zetknięta w Szczakowie z koleją krakowsko-górnoląską połączyła Warszawę z głównymi miastami Europy”².

Głównym celem drogi żelaznej zaprojektowanej przez H. Łubińskiego było dostarczanie węgla z kopalń. Jednakże, jak czytamy w *Tygodniku Ilustrowanym*, dopiero po raz pierwszy w roku 1854 węgiel drogą tą przybył do Warsza-

wy. Odtąd dowoży onego z rozwojem kopalń krajowych ciągle powiększają się”³.

Zainteresowanie prasy koleją było duże. Oto parę ciekawych szczegółów o odnodze drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, linii ząbkowicko-katowickiej. Autor artykułu pisze „Kotowice”, gdyż stwierdza, że nazwa „Katowice” jest niewłaściwa, ponieważ pochodzi od niemieckiej „Katowitz”. My jednak chyba trzymać się będziemy naszej obecnej nazwy i poprawimy autora.

W dniu 24 sierpnia r. b. (1859 — przyp. mój J. D.) odbyta została inauguracja drogi żelaznej ząbkowicko-katowickiej, o czym dzienniki warszawskie w swoim czasie szczegółowo doniosły. Podając przeto w Tygodniku naszym drzeworyt uroczystość tę przedstawiający, powiemy tylko słów kilka o samej drodze i o korzyściach jaką ona dla publiczności przyniesie.

Kolej ząbkowicko-katowicka... łączy bezpośrednio naszą drogę warszawsko-wiedeńską z drogami pruskimi, a tym sposobem nie tylko że skraca drogę w tym kierunku o 2 i pół mili blisko, gdyż nie ma już potrzeby przejeżdżania przez stację Granica i część państwa austriackiego, ze Szczakowy do Mysłowic, ale co daleko ważniejsze, uchyla stratę czasu i uciążliwą ekspedycję na granicy austriackiej.

Dawniej wyjeżdżało się z Warszawy o godzinie 5 i pół po południu do Granicy; tam około 3-ch godzin nocną porą trzeba było zajmować się ekspedycją pakunków, kupnem biletów i zatwierdzeniem przepisów celnych i paszportowych. Po przybyciu z Granicy do Szczakowy, w kilka minut, znowu nowa zwłoka, skutkiem której często bardzo nie trafiono już na pociąg śląski, odchodzący z Mysłowic o godzinie 6-tej rano; kto zaś pociągiem tym mógł w dalszą puścić się podróż, przybywał do Wrocławia o godzinie 12-ej w południe i tam musiał oczekiwać do godziny 9 i pół wieczór, na pociąg do Berlina lub Drezna idący.

Po otwarciu zaś drogi ząbkowicko-katowickiej dla użytku publicznego, co nastąpiło 26 sierpnia r. b., wyjeżdża się z Warszawy o 6-ej rano, staje się w Sosnowcu o 2-ej po południu, w Katowicach o 3-ej minut 10, w Wrocławiu o 9-ej wieczór, a na drugi dzień o 5-ej dojeżdża się do Berlina. Zyskuje się zatem 12 godzin czasu i unika się utrudnień jakie z przejazdem przez granicę austriacką były połączone. Do Drezna przyjeżdża się o 4-ej rano nastajutrz.

Oprócz tej ważnej korzyści dla podróżujących i handlu, nowa ta droga, przechodząc przez bogate pokłady węgla kamiennego w Dąbrowie, ułatwi jego transport, a tym samym obniży cenę tego paliwa w okolicach najbardziej go potrzebujących. Oto są dogodności wynikłe z otworzenia tej komunikacji”.

Sumienny sprawozdawca nie zapomina i o dworcach kolejowych. Czytamy, że:

Na stacji Dąbrowa stanął tylko niewielki budynek stacyjny połączony ze składem towarowym oraz domek mieszkalny dla oficjalistów miejscowych; w Sosnowcu zaś postawiono obszerny dworzec, mieszczący w sobie pokoje dla Najdostojniejszych Osób, sale 1-ej, 2-ej i 3-ej klasy, lokal dla ekspedycji celnej, biuro paszportowe i różne mieszkania. Oprócz tego znajduje się tam jeszcze dom mieszkalny dla niższej służby, szopa na parowozy i wagony, pomost obrotowy itd. Budowle dla wydziału



Dworzec „Drogi żelaznej warszawsko-terespolskiej” w Siedlcach. Rycina z Tygodnika Ilustrowanego z r. 1866 przedstawia moment wjazdu pierwszego pociągu z Warszawy.

Dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej w Warszawie. Tyg. Ill. 1859.



celnego postawione będą kosztem zarządu celnego, co nim nastąpi, w tymczasowym zabudowaniu czynności celne się odbywają”⁴.

W roku 1851 tabor drogowy na drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej

składał się z 43 parochodów i 408 parowozów i wagonów, a parochody w większej części są zbudowane podług systematu Stephensonu z różnymi wszakże odmianami jakie ciągle w maszynach złożonej, a tak kosztownej, celem

jej najkorzystniejszego użycia są zaprowadzone”⁵. Niewątpliwie zaciekawia nas, jakie wówczas były klasy. Otóż było ich cztery: klasa I przykryta, opatrzona oknami, siedzenia i oparcia wyściełane, miejsca z poręczami, czółzwały po-

wozu na 8 osób. Klasa II przykryta i z oknami, siedzenia także wysłane, bez poręczy, oddziały powozów na 10, 15, 26 osób. W klasie III przykrytej, lecz z dołu firankami tylko zamkniętej ławki niewyścielane i miejsca na 32 i 48 osób. Klasę IV stanowią wreszcie wagony zupełnie nie przykryte, opatrzone ławkami na 48 i 52 osób. Wagony pod towary i ciężary są albo kryte, albo zupełnie otwarte, tak zwane platformy. Wszystkie powozy i wagony mają re-

sory aby umniejszyć trzęsienie; przy powozach osobowych nadto znajdują się resory boczne, które wzajemnie łagodzą ich uderzenie w chwili zwolnienia biegu i zatrzymania pociągów”⁶.

W r. 1867 powstała w Warszawie tzw. kolej żelazna konna. Oto co donosi prasa z tego roku:

Od kilku tygodni oddana została na użytek publiczny droga żelazna miejska, idąca od głównego dworca stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej, przez ulice

Marszałkowską, Królewską, Krakowskie Przedmieście, Nowy Zjazd i most na Wiśle do dworca kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej na Pradze.

A więc coś podobnego jak dzisiejszy tramwaj, czy kolej elektryczna z Warszawy Zachod. do Warszawy Wschod.

Połączenie to ważne dwóch kolei, ułatwia wielce komunikację pomiędzy nimi, tak dla samych pasażerów jak i przewożonych ciężarów. Służy ona nadto do wygody i samych mieszkańców

Warszawy. tych części miasta, którymi przechodzi.

Ozdobne wagony z głównej stacji na Krakowskim Przedmieściu, sprzed gmachu Resursy Obywatelskiej, odchodzą co pół godziny na Pragę do dworca drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej.

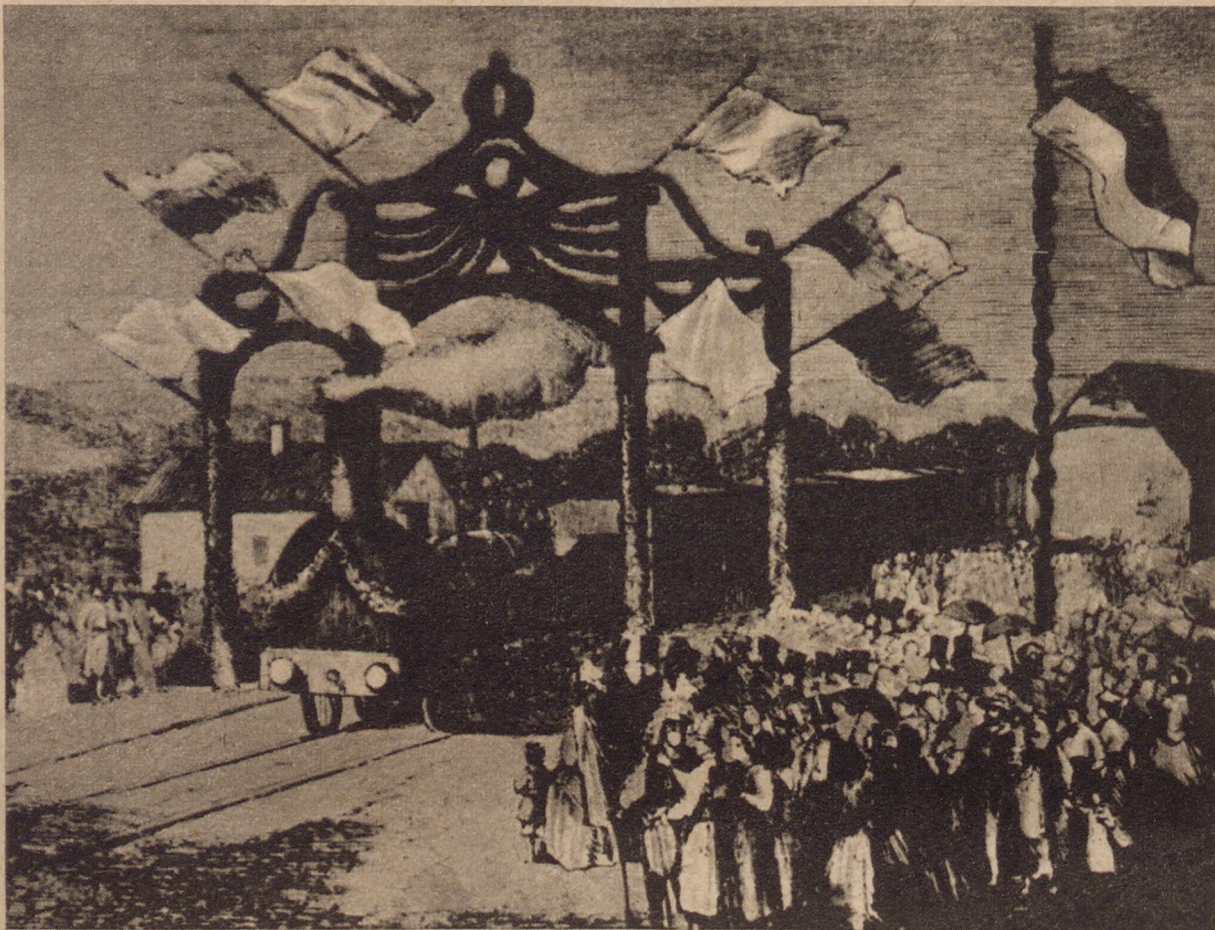
Towarzystwo drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej wybudowało tę drogę własnym kosztem, uzyskawszy na taką przywilej na lat 85, to jest do dnia 1 stycznia 1952 r., po upływie tego czasu, cała linia staje się własnością miasta, tabor zostanie oceniony i miastu odstąpiony. Grunt potrzebny pod tę kolej magistrat bezpłatnie odstąpił”⁷.

Tak więc dziadkowie nasi marzyli o tym, że ich piękna kolej żelazna konna będzie kursować aż do naszych czasów. Z samej kolei dziś już ani śladu. Pozostało tylko wspomnienie o wydanym przywileju ważnym do r. 1952. Niestety, zapomnieliśmy 5 lat temu o tej rocznicy i nie uczciliśmy tego tak ważnego dla Warszawy momentu.

Przedstawione wyżej uwagi i fragmenty artykułów z polskiej prasy dziewiętnastowiecznej to tylko mały wycinek z dziejów kolei w naszym kraju. Przy przeprowadzaniu badań nad historią kolejnictwa polskiego nie można więc ominąć starych czasopism.

opracował Józef Dużyk

Otwarcie drogi żelaznej ząbkowicko-katowickiej
Tygodnik Ilustrowany, 1859.



PRZYPISY:

- 1) F. B., Droga żelazna warszawsko-teres-polska. Tygodnik Ilustrowany, 1866, t. 14, str. 208.
- 2) Droga żelazna warszawsko-wiedeńska. Tygodnik Ilustrowany, 1859, t. 1, str. 108.
- 3) Droga żelazna... Tyg. Ilustr., 1859, t. 1, str. 109.
- 4) Odnoga drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej pod nazwą ząbkowicko-katowickiej. Tygodnik Ilustrowany, 1859, t. 1, str. 4.
- 5) Droga żelazna warszawsko-wiedeńska. Stanisława Strąbskiego Kalendarz czyli Rocznik na rok zwyczajny 1851. Warszawa 1850, str. 62.
- 6) Droga żelazna..., Stanisława Strąbskiego Kalendarz..., str. 62.
- 7) Kolej żelazna konna w Warszawie. Kłosy 1867, t. 4, str. 121.

TOPIELISKA

Antoni Wrzosek

Przy ścieżce wiodącej liny Bystrzycy na płaskowyż Gór Bystrzyckich stoi drewniana wieża obserwacyjna. Rozciąga się z niej widok na szarozieloną płaską wyspę wśród morza lasów. To Topieliska — najdalej na południe w Europie wysunięty fragment podbiegunowej tundry. Leży on w odległości 5 kilometrów od Dusznik-Zdroju.

Powierzchnia tego górskiego torfowiska nabrzmiewa lekko ku środkowi, ale równocześnie w tej środkowej części kryje szereg zakleszczeń wypełnionych wodą. Głębokość ich sięga do 10 metrów. Im właśnie bagno zawdzięcza swą nazwę. Warstwa bowiem torfu, miejscami grubości 6 do 10 metrów,

tworzy niekiedy na powierzchni zbiorników tylko cienki kożuch torfowiskowej roślinności. Nieostrożna wędrownica po zdradliwym przesiąkniętym wodą podłożu może się skończyć wręcz tragicznie. Literatura niemiecka wspomina wypadki zatonięcia bez śladu pod uginającym się torfowym kożuchem.

Rozległe lasy otaczające Topieliska ze wszystkich stron wkraczają na torfowisko od południa niskim bagiennym borem. Przypomina on mszary północnej granicy lasów Europy i Azji. Tworzą go sosny błotne i brzozy omszone. Gałęzie sosny błotnej układają się w płaskie korony, zbliżone kształtem do pinii. Nigdzie indziej w Polsce nie znajdziemy

podobnych. Podczas mglistej pogody wynurzające się ich sylwetki robią na zwiedzającym niesamowite wrażenie. W północnej i środkowej części Topielisk z rzadka tylko trafiają się pojedyncze okazy kosówki i sosny. Pozostała roślinność to grube kożuchy mchów, torfowców i welnianki. Na powierzchni płazi się żurawina, miejscami występują krzewy bagna (*ledum palustre*). W dzień ciepłe i słoneczne brzęczą nad mokradłami roje owadów. Wśród roślin i zwierząt zamieszkujących Topieliska jest wiele rzadko spotykanych w Polsce. Największą ich osobliwość stanowi brzoza karłowata (*betula nana*), rosnąca dziś na wybrzeżach Grenlandii,

Islandii, w północnej Norwegii i w pasie tundr Związku Radzieckiego, a która w Polsce utrzymała się jedynie w tym miejscu od czasów epoki lodowej. Nie przypomina ona postacią innych polskich gatunków brzozy; gdyż dorasta najwyższej parudziesięciu centymetrów wysokości.

Przed stu laty jeden z nadleśniczych, któremu podlegały okoliczne lasy, powziął myśl, aby zwiększyć obszar leśny kosztem torfowiskowych nieużytków przez ich odwodnienie. Kazał więc wykopać w poprzek Topielisk od północno-wschodu ku południo-zachodowi głęboki rów, i doprowadzić go do górnego krańca wąwozu przecinającego część bagna. W

Zdjęcia poniższe przedstawiają fragmenty rezerwatu przyrodniczego „Topieliska” w Górach Bystrzyckich, niedaleko Dusznik-Zdroju.
Fot. Stefan Godzik.



ten sposób północna i środkowa część Topielisk uzyskała odpływ o silniejszym spadku w kierunku Bystrzycy. Nie pociągnęło to jednak za sobą przewidywanych skutków. W ciągu następnych dziesięcioleci po przekopaniu rowu obszar Topielisk nie zmniejszył się w sposób widoczny ani nie stał się suchszy. Po dziś dzień obszar ten mierzy z północy na południe około 2 kilometry długości, szerokość zaś waha się od 500 m do 1 km. Najniższy jego punkt nad brzegiem potoku Orlicy wznosi się 740 metrów nad poziom morza.

W jaki sposób w miejscu położonym tak wysoko powstało owo rozległe bagno?

Topieliska leżą na podłożu nieprzepuszczalnych margli kredowych, których warstwy ułożone prawie poziomo utrudniają spływ wód opadowych, gromadzących się w lekkim obniżeniu terenu między płaskim zrębem Gór Bystrzyckich a wyższym nieco i stromszym masywem Gór Orlickich.

Znaczne zasoby torfu dawno już skłoniły ludzi do prób eksploatacji Topielisk. Wiadomości o pierwszych jej początkach pochodzą z roku 1799. Wydobytego torfu używano w okolicznych wsiach na ściółkę, trochę też na opał. W związku z tym przez pewien czas stało w środkowej części Topielisk parę chat, zamieszkiwanych okresowo przez torfiarzy. Ślady eksploatacji torfu przy drodze przecinającej w poprzek topieliska są do dziś dobrze widoczne. Ponieważ później okazało się, że tutejszy torf nie odznacza się dobrą jakością użytkową, eksploatację przerwano.

Dzięki staraniom przyrodników Topieliska uznane zostały za rezerwat. Są nim do dnia dzisiejszego.

Ze względu na niezwykłą w naszych warunkach klimatycznych roślinność Topieliska są jedną z największych osobliwości przyrodniczych i krajobrazowych Ziemi Kłodzkiej.

ANTONI WRZOSEK

RZEKOTKA DRZEWNA

(*Hyla arborea*), zwana także żabką zieloną, większą część swego życia spędza na drzewach lub krzewach, po których porusza się zręcznymi skokami. Pewność ruchów ułatwia jej niewielki rozmiar ciała (ok. 4 cm), a przede wszystkim poduszczkowate rozszerzenia na końcach palców, tzw. przyłgi. Wydzielają one lepkać ciecz, która umożliwia żabce natychmiastowe przyczepianie się do liści i gałązek. Jasnozielona barwa skóry doskonale chroni rzekotkę wśród liści przed wzrokiem innych zwierząt. Owady, na które zielona żabka głównie poluje, chwytą ruchliwym lepkiem językiem. Wiosną rzekotki opuszczają schronienia, w których przesypiały zimę i rozpoczynają okres godowy, któremu towarzyszy charakterystyczne rechotanie samców. Skrzek zostaje złożony do wody, młode zaś wywędrowują na drzewa, gdzie spędzają okres lata i wczesnej jesieni.

Lucjan Sych



ARYBALLOS



Rolnik Józef Skiminia, orząc w roku 1937 swoje pole położone na wyniośłości zwanej Lisia Góra, wydobyl z bruzdy naczynko o „dziwnym kształcie”. Zaniósł je do pobliskiej ochronki. Siostra Teresa Skrabska przekazała je Muzeum Archeologicznemu w Krakowie. Sposobu wykonania tego glinianego naczynka nie trudno domyśleć się. Niedbale wyrównane boczne szwy zdradzają, że powstało ono przez wyciśnięcie w dwustronnej formie. Zewnętrzna strona będąca pozytywem formy przedstawia postać

męską w stroju (prawdopodobnie sakralnym).

Naczynka takie, zwane aryballosami, wyrabiano w starożytności na Wschodzie z przeznaczeniem na zbiorniczki do olejków. Przedstawiony na zdjęciach aryballos, znaleziony przez Skiminia, jest wyrobem azjatyckim, z widocznymi wpływami egipskimi (sposób przedstawienia oczu!).

Taka jest historia naczynka i tyle o nim da się powiedzieć na podstawie ogólnych wiadomości i analizy formy. Nikt jednak nie wie, jakimi



Trzy zdjęcia przedstawiają aryballos znalezione na Lisiej Górze w Grodkowicach w pow. bocheńskim, z przodu, z boku i z tyłu.
Fot. K. Bielenin.

C-III 1094.

Rys. J. Smólski



drogami przedmiot zawędrował przed wiekami z Azji w pobliże dzisiejszej wsi Grodkowice w powiecie bocheńskim. Wstępne badania archeologiczne przeprowadzone na Lisiej Górze dały w wyniku materiał późno-

neolityczny i kilka bliżej nie określonych żelaznych przedmiotów. Dalsze badania wykopaliskowe mogłyby rzucić nieco światła na czas importu aryballosa.

K. Bielenin

Gdzie jest drukarnia

Kilka miesięcy temu zwiędziłem wystawę objazdową *Odrodzenie w Polsce*. Niestety — jej scenariusz nie uwzględniał w pojęciu „Polska” terytorium Mazur. A przecież w okresie Odrodzenia „Mazury Pruskie” były ważnym ośrodkiem polskiego życia kulturalnego.

Właśnie na Mazurach, w Elku, powstała wówczas druga (po krakowskiej) polska drukarnia, założona przez Jana Małeckiego, rodem z Nowego Sącza. Krótko po otwarciu zakład został przeniesiony na wieś, podobno do Regielnicy, którą Małeckim nadał książę Albrecht. Ale Regielnica nie była jedyną wsią, jaką otrzymali. Należała

do nich także wieś (niegdyś kościelna) Małczewo, po niemiecku nazywana Malleczewen.

W trzecim numerze *Mitteilungen der Literarischen Gesellschaft Masovia* (z roku 1897) znalazłem następującą wzmiankę dotyczącą interesującej nas drukarni:

Upamiętniając pana rentiera Franciszka Barczewskiego z Elku zawdzięczamy wiadomość, że gdy jego ojciec w roku 1824 kupił majątek Małczewo, w obszernym, lecz bardzo starym domu mieszkalnym znajdował się długi pokój o wielu oknach, który powszechnie nazywano „drukarnią”.

Publikując tę notatkę Niemcy przy-

puszczali, że owa „Druckerei” mogła być tylko i jedynie budynkiem, w którym mieściła się polska drukarnia Małeckich. W roku 1945 ziemia elcka wróciła do Polski, lecz nie zajrzał tu nikt z inwentaryzatorów zabytków sztuki. Zresztą zabytki te nie cieszą się tutaj zbyt wielkim szacunkiem. W sąsiednim powiecie piskim na przykład pewna nauczycielka wraz z soltysem rozebrała na opał zabytkową mazurską chatę.

W zabudowaniach byłego majątku Małczewo (w którym do niedawna gospodarowała spółdzielnia produkcyjna) znajduje się na polu rozwalona wozownia, niektórymi cechami przypominająca pomieszczenie opisane przed 60 laty przez Barczewskiego. Tylna ściana zbudowana jest wyłącznie z kamieni, ale nie jest to częsty w niektórych okolicach Mazur typ budownictwa „kamienno-ceglanego” z ostatniego stulecia. Kamienie w tej ścianie są wyłącznie małe, często płaskie — całość sprawia wrażenie czegoś starego.

Przednia ściana nosi ślady przebudowań. Patrząc na nią od wewnątrz widzimy wąskie ostrołukowe okienka tak rozmieszczone, że w całej ścianie musiało ich być niegdyś 7 lub 8.

Sądząc, że nazwa „Druckerei”, używana jeszcze 130 lat temu, mogła się zachować w katastrach, szukałem jakichś śladów w archiwum powiatowym w Elku. Może znalazłby się jakiś plan dawnych zabudowań? Niestety, archiwum w Elku jest — puste.

Być może ślad, na jaki natrafiłem, jest fałszywy. Jednak nie mam zamiaru rezygnować z poszukiwań, bo jeśli wozownia w Małczewie jest istotnie resztką zabytkowego budynku z pierwszej połowy XVI wieku, nie można dopuścić, aby spotkał ją los chaty z sąsiedniego powiatu. Może pomogliby wyjaśnić sprawę historycy-specjaliści, gdyby zainteresowali się obiektem?

Edward Martuszowski